

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty, od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Wielki słoń. — Z Austrii p. S. — Z Francji p. Parisa. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* W pięknej willi p. W. Marrené. — *Życie społeczne:* Listy z nad Bałtyku p. A. R. — Warszawskie Towarzystwo jedwabnicze. — *Badania naukowe:* Nowe prace ekonomiczne J. Mittelstaedt, F. Flamm p. K. R. Żywickiego. — *Literatura i sztuka:* Walerya Solecka: On i ona p. H. B. — Pieśń labędzia Tennysona p. Leona Winiarskiego. — Listy wiedeńskie p. Stwosza. — *Fejleton:* Librum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Z. Atanazego. — O prawdę p. Stałego prenumeratora. — Prasa ruska. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

WIELKI SŁOŃ.

Trzeba przyznać polityce, że ona stara się i umie zasnawać swe najbrutalniejsze czyny oprzędami idealnymi, które nieraz są bardzo przezroczyste i szybko przy dotknięciu rozdzierają się jak siatki pajęczce, ale przez pewien czas spełniają swoje zadanie — osłaniają rękę, która sięga po zdobycz. Kiedy od sejmu niemieckiego żądano zasiłków na wyprawę do Afryki, nawet trzeźwi posłowie dali się złapać na sentymentalną obietnicę, że rząd nie wyjdzie po za granice celów „kulturalnych” i że chodzić mu będzie przede wszystkim o „zatomowanie handlu niewolnikami.” Skoro apostoł cywilizacji, major Wissman, znalazł się na gruncie, skoro zaczął mordować murzynów, burzyć armatami ich wioski i rozszerzać posiadłości niemieckie nowymi zaborami, przysłała banka, wydepta z idealnych mydlin, i ukazał się widok zwykłego łupieztwa. Daleko dłużej utrzymywała się tkanka szlachetnych pozorów na wyprawie Stanleya. Bohaterski wybawiciel Livingstone’a, za pieniądze króla belgijskiego i bogaczy angielskich, udał się — jak upewniano — w głąb Afryki dla wydobywania Eminy pasczy (d-ra Schnitzera), osaczonego przez mahdistów. Nie zaprzeczano, że będzie on się starał o zebranie wiadomości naukowych, o zbadanie bogactw kraju, rynków zbytu dla produktów europejskich i dróg handlowych, ale koniecznie wyswobodzi nieszczęśliwego Eminę. Zwłaszcza gdy od śmiałego podróżnika nadeszły listy, opisujące męczarnie jego pochodów, entuzjazm dla jego trudów i poświęceń zapłonął pełnym ogniem. Nareszcie Emin, po długim i dla odległych widzów dramatu niezrozumiałym uporze, uległ Stanleyowi i wraz z nim przybył do Zanzibaru. Jego choroba, skutkiem ciężkiego potłuczenia się, prze-

szkodziła natychmiastowemu wyjaśnieniu się stosunku obu podróżników i ich dalszych zamiarów. Gdy Stanley odpłynął do Egiptu, a Emin odzyskał zdrowie pod czułą opieką majora Wissmana, prasę europejską zaczęły obiegać coraz głośniejsze szeptki, że między wybawicielem a wybawionym istnieje jakieś nieporozumienie i pretensje. W końcu tłumiony i tajony spór wybuchł: Emin przyjął służbę niemiecką i wyruszał ponownie w jej interesach do wnętrza Afryki a nadto wylał wszystkie swe żale do Stanleya i odsłonił właściwy cel jego wyprawy. Towarzystwo bogaczy angielskich (główną zaś między nimi rolę gra pewien kapitalista szkocki) nie ulitowało się wcale nad nieszczęśliwym losem osaczonego Schnitzera, dla którego żalowałoby 1,000 funt. szt., ale wiedząc lub odgadując, że on może stać się wyborną pompą, wysysającą soki żywotne z Afryki, a zwłaszcza, że posiada obfite zapasy kości słoniowej, wysłało Stanleya, ażeby go wyratował za cenę zobowiązań do usług i posiadanej a cennego materiału. Emin nie chciał zgodzić się na tę propozycję, a gdy wreszcie uległ namowom Stanleya do opuszczenia swej siedziby, część kości słoniowej pozostawił u zaufanego królika afrykańskiego, a część w bezpiecznym miejscu ukrył. Chociaż więc został „ocalony,” zasmucił ciężko swych wybawicieli, którzy nie pragnęli jego całej skóry, ale kości słoniowej. Spełnienie pozornego celu wyprawy było chybieniem rzeczywistego.

Być może, iż w zapowiedzianej i podobno już gotowej książce swojej Stanley inaczej przedstawi tę sprawę; w każdym razie z wyznań Eminy, z zestawienia innych dowodów i z tej krytycznej niewiary, jaką mieć trzeba do idealizmu kupieckiego, wynika jasno, że w całym tym zatargu poruszają się naprzód schowane a później wysunięte szpony spekulacji i zaboru. Dojrzał je wyraźnie i nie łudził się ten rajca londyński, który protestował przeciwko uroczystemu przyjęciu Stanleya kosztem miasta, wskazując w nim przedewszystkiem lu-

pieczę handlowego. Niepodobna mu odmówić śmiałości, sprytu, bohaterstwa a nawet wielkich zasług dla nauki; ale te przymioty jego charakteru i korzyści zbadania krajów nieznanych nie usuwają głównej sprężyny, działającej w nim i w jego dobrodziejach. I Cesarowi zawdzięczamy dużo nieoszacowanych wiadomości o starożytnej Galii, ale i Cezar nie podjął swej wyprawy dla studyów etnograficznych. Podobnie rzecz się ma z podróżami Stanleya. Powie on nam dużo ciekawych rzeczy o rzekach, jeziorach, ludach wnętrza Afryki, ale pozostanie ciągle wodzem armii, zdobywającym ziemie i narody dla rzeczypospolitej kupieckiej. Bieg Konga zajmuje plan dalszy — na pierwszym leży kość słoniowa. Wielki kapitał, wyczerpawszy wszystkie pokłady zysków w krajach znanych, szuka i, znalazłszy, rzuca się na nie w nieznanych, a rzuca się z całą drapieżnością, z całym ryzykiem i z całą potęgą swych środków. My, naród kramów i handelków, nie możemy pojąć, na podstawie jakiej rachuby milioner szkocki daje olbrzymie sumy Stanleyowi na wyprawę do Afryki i gotowimy raczej posadzić go o don-kiszoterę, niż o spekulację; a jednakże jest to tylko spekulacja, tylko marzenie o kości słoniowej. Kultura, cywilizacja, powstrzymywanie handlu niewolnikami, badania naukowe — to plecionka frazesów dla owinięcia beczki z wódką, która płynie do Afryki, lub z kością słoniową, która płynie do Anglii. Powinniśmy wiedzieć o tych rzeczywistych pobudkach, jeżeli chcemy rozumieć owe wielkie przedsięwzięcia podróżnicze, przed którymi i za którymi biegnie krzykliwa sława. Afryka — to słoń, dobijany przez Europę, która mu kły wyłamuje. Nauka dostanie z niego tylko szkielet, który postawi w swych muzeach i nie zdoła nigdy opowiedzieć, z jakim okrucieństwem go zamordowano i ile przytem krwi wypłynęło.

Z AUSTRYI.

Ferye parlamentarne. — Sztuczki pougodowe Rygiera. — Trzeźwość czechów i kłopoty hr. Taaffego. — Jak pracuje parlament wiedeński.

Po siedmiotygodniowej, jałowej sesji rozeszli się członkowie parlamentu austriackiego, wysuwając rozprawę budżetową na okres poświęcony. Tymczasem czesi starają się wyzyskać położenie. Wiedząc, że głosy ich są niezbędnymi dla ministrów, którym idzie o uchwalenie budżetu, dziś już twierdzą, że komisya ugodowa, która zbierze się po świętach, napotka na wielkie trudności; mężowie stanu i dzienniki wskazują ze strachem udanym na „lud“, który obali ugodę, jeżeli... Jest to oddawna maksymą czechów, że żądań swych w bawę nie obwijają; więc i dziś, mimo podpisanego układu, żądają niedwuznacznie ulg i podatków finansowych, wymagają, by im gotówką zapłacono zaskorosość do ugody. W kołach dobrze poinformowanych wiadomo jednak, że tej pretensyi hr. Taaffe, z przyczyn łatwo zrozumiałych, spełnić nie może; natomiast ofiarowywa czechom nową więzankę drobnych ustępstw na polu szkolnictwa, próbując w ten sposób utworzyć ugodę co do ugody. Jest to okoliczność charakterystyczna i zasługująca na uwagę, że nowy ten nacisk nie wychodzi bynajmniej z radykalnego stronnictwa młodo-czeskiego, lecz go popierają towarzysze Władysława Rygiera, który wraz z Mattuszem i Zeithammerem podpisał protokoły obrad ugodowych. Rzadko ironia układów politycznych wystąpiła tak jawnie i dotykalnie. Czesi kroczą naprzód z bezwzględnością, któraby nieraz przydać się mogła galicyjskim mężom stanu. Nie ich to nie obchodzi, że posłowie polscy zniechęceni są zawieszeniem sprawy indemnizacyjnej, że hr. Taaffe, udzielając im koncesyi wychodzących po za ramy umowy, burzy tem samem jej podstawę i wstępuje na nowo do labiryntu, z którego rząd austriacki z biedą się wy dostał. W tej walce części z całością, członków z organizmem, jaką przedstawiają wewnętrzne dzieje Austrii, czesi postępują najtrzeźwiej; najmniej wierzą sojuszm, posługując się nimi obficie, najskuteczniej dbają o korzyści własne, zapewniając bezustannie sprzymierzeńców politycznych: *de te res agitur*.

Hr. Taaffe zaś, trzymając się metody lekarzów za powodzeniem goniących, dokazuje wprawdzie sztuki, że zażęgnywa najfatalniejsze starcia, lecz niszczy przytem organizm i przyspiesza jego rozkład. Polityczny ten lekarz-cudotwórca metodą tą spowodował całkowite niemal wyjałowienie działalności parlamentu. Zamiast „mądrego używania czasu“, zapowiedzianego w mowie tronowej 1879 r., pośpiech niesłychany nadaje cechę główną parlamentaryzmowi. Bez toho pędzi on, nie mając nigdy czasu; najważniejsze sprawy załatwiane bywają regularnie przy samym końcu sesyj. Korzyść tego systemu dla rządu jest jasną. Ścieśnia on najbardziej sposobności do wywodów głębszych, które dla gabinetu stają się kłopotliwymi. W tym wiecznym pośpiechu stronnictwa tracą jasną świadomość własnego stanowiska, stosunku do rządu i do siebie samych. System ten nie zmieni się, póki skład Izby pozostanie takim, jakim jest obecnie. Lecz zbliża się czas wyborów nowych, które, prawdopodobnie, zmienią fizyognomję parlamentu austriackiego. Może do owego czasu hr. Taaffe obmyśli nową metodę wmawiania w żywioły odśrodkowe, że są dośrodkowymi.

S.

Z FRANCYI.

Paryż, 12 kwietnia.

Swoboda ulicy. — Manifestacja rzeźnicza. — Wyborcy do rady miejskiej Paryża. — Bulanzym. — Powrót z konferencji berlińskiej i francuskie prawodawstwo fabryczne.

Jakiś niemiecki filozof miał powiedzieć, że wolność *ist kein Prinzip*. We Francyi przynajmniej dzieje się inaczej; tu bowiem swoboda, a mianowicie „swoboda ulicy“ jest jednym z kamieni węgielnych porządku w trzeciej Rzeczypospolitej. W imię tej zasady surowo zakazane są wszelkie zbiorowe manifestacje na ulicy; nie wolno również urządzić zebrań na otwartem powietrzu... Wydać się to może dziwnem, że w imię wolności panuje cały skomplikowany regulamin zakazów. Wydawać się to jednak może tylko pozornie, skoro bowiem wnikiemy w ich kazuistykę, przekonamy się niebawem, że wszelkie procesy i mani-

festacje uliczne zabronione są dlatego właśnie, żeby nie tamować „swobody“ przechodniów ulicznych. Ażeby nie drażnić tych lojalnie „cyrkulujących“, nie wolno również nieść za pogrzebem lub w jakimkolwiek bądź pochodzie — chorągwi czerwonych lub czarnych... Dozwolone są tylko trójbarwne, jako znaki urzędowo-narodowe francuskie, które drażnić nikogo nie powinny — chyba wyznawców białego sztandaru... Biały kolor jednak również jest zabroniony, jak procesy i chorągwie kościelne.

Niech zaś kto, w najniewinniejszych zamiarach, wykroczy przeciwko tym dogmatom porządku republikańskiego, bezzwłocznie cały garnizon paryski, szczególnie zaś piesza i konna gwardya, postawiony bywa na nogi, policyanci zaś kryją się w różnych zaułkach i podwórzach, żeby mogli wypaść znienacka i rozpedzić naruszających „swobodę ulicy“.

Odbywa się wtedy po całym mieście formalne polowanie na ludzi, policya zaś gorliwie rozpędza wszelkie „zbiegowiska“, nawet jeżeli składają się z dwóch tylko obywateli... Dwóch, to już *ressamblent dans la rue*; niezbyt dawno Deroulé z Laguerrem zostali zaprowadzeni do komisaryatu za to jedynie, że nie chcieli się rozejść i idąc razem tworzyli zbiegowisko... Jeżeli się wam w takim wypadku zdarzy przechodzić przez plac lub ulicę, których swoboda jest zagrożoną, pamiętajcie nie zatrzymywać się i nie gapić; gdy to bowiem nastąpi, szturmie was niebawem w bok stróż wolności i porządku, zmagając do posuwania się naprzód; jeżeli postawicie najlżejszy opór takiemu grzecznemu wezwaniu, wezmą was za kornierz i zaprowadzą także do komisaryatu za *refus de circuler*. Tak, swoboda ulicy strzeżoną, jest pilnie i biada temu, kto śmie przeciwko niej wykroczyć.

Powazyli się na to niedawno robotnicy rzeźnicy z jatki centralnej na La Violette. Z powodu jakiejś epidemii, zakazano przywozu do Francyi żywych baranów z Niemiec, co miało ten skutek, że około 600 robotników, zajętych ich zabijaniem, zostało bez roboty. Trwało to kilka miesięcy, aż wreszcie robotnicy, przyciśnięci głodem, dowiadując się przytem, że zarazono rzekomo barany wjeżdżają do Belgii zupełnie swobodnie, że następnie przybywają do Francyi, tylko zabite na granicy — postanowili wreszcie udać się do rządu z petycją, w której prosili o zniesienie zakazu lub też

3)

W PIĘKNEJ WILLI.

Browicz słuchał, a w miarę jak słuchał, zaczynał trapić go niepokój jakiś. Byłby oho! był stąd daleko, a przecież nie ruszał się z miejsca. Oczy jego nie mogły odejść od tej twarzy, na której odnajdował z trudnością niegdyś znanego sobie człowieka. Murski nie darmo odwoływał się do dawnych stosunków. Zнали się od szkolnej ławki, byli przyjaciółmi nawet w wieku, gdy tak łatwo zawiązują się stosunki. Murski przyjaciół miał pełno. Mają ich zawsze synowie bogatych ojców, zwłaszcza z ręką i kieszenią otwartą. A on szafował wszystkim, co posiadał: pieniędzmi, zdolnościami, sercem. Browicz czasem śmiał się z niego w duchu. Ilekroć raz Murski za niego odrobił zadanie, napisał ćwiczenie, raz nawet oddał mu najlepsze, a sam dostał bardzo mierny stopień. Prawdziwie można było łatwo z tego jednego przewidzieć, na co mu kiedyś przyjdzie.

A jaki on był piękny! Z delikatnym profilem, jasnym czołem, z oczyma zmiennymi jak gra fali; oczy te śmiały się zwykle, ale każdy smutek cudzy gasił ich wesołość. Był jakiś wdzięk i wykuint w jego postaci, ru-

chach, wyrazie, który Browicz nieraz przejął usiłował. Nawet gdy zręcznie powoził amerykańkanem, przypominał sobie, jak to czynił Murski. Był on synem wziętego doktora, który mu przekazał za jedyne dziedzictwo niedbałe usposobienie. Pomimo wielkich dochodów nie zostawił nic prócz długów. A jednak Murski opłakiwał go, jakby w spadku odziedziczył krocie. Browicz pamiętał to dobrze. Pracowali już wówczas obaj, Murski miał jakąś posadę sądową, on zaś siedział od świtu do późnej nocy w kantorze; pamiętał nawet jak mu doradzał, by nie spłacał długów ojcowskich.

Ale czy on kiedy rozsądnej rady usłuchał? Odtąd już widywali się rzadko; słyszał tylko, że Murski się ożenił z panną ubogą a w dodatku delikatną, jak pianka. Spotkał ich kiedyś idących ulicą. Kobieta wiotka, bladziutka, żeby przynajmniej była ładną! Chociaż i to głupstwo. W żonie posag to grunt, tak myślą wszyscy rozsądni ludzie. A wszakżeż on sam swatał mu pannę, mającą kilkadziesiąt tysięcy gotówką. Chciał mu dopomóc. Ale kto tam mógł z nim trafić do ładu. Zamiast być wdzięcznym, o mało się nie obraził. Odrzucił jego propozycję jednym słowem: „Kocham inną.“ I nie zapytał nawet, o kogo chodziło. Jakby miłość i małżeństwo zawsze miały iść w parze? Miał przecież urząd niewielki, przyszłość była niepewną... Próbował mu to przedstawić. Rzucił groch na ścianę. Browicz nie mógł zapomnieć nigdy, jak

podniósł jasne czoło właściwym sobie ruchem. Cóż stąd, wyrzekł, będę pracował. Ot, do czego te piękne zamiary doprowadziły. I oto ten nędzarz, ten fałszerz, który stał przed nim drżący, z głową zwieszoną na piersi, w starym surducie poplamionym, wytartym, dwa razy za szerokim na jego chude członki, to był ten sam Murski.

Ostatecznie dziwić się nie było czemu; albowiem to raz ludzie zmieniają się według okoliczności, albowiem to raz uczciwość nie chodzi w parze z dostatkiem, a oszustwo z biedą? Browicz widział to nie raz, nie tyjąc. I on, co nie wierzył w abstrakcję żadną, zwykł był nawet klasyfikować uczciwość według siły przeciwności; była ona jak maszyna, mogąca wytrzymać ciśnienie pewnej liczby atmosfer, albo też według wysokości cyfry, do której można na nią rachować. Były takie, co zaledwie wytrzymały wartość setki i takie, co kruszyły się dopiero wobec milionów. A tu Murski... Doprawdy dziwiłby się mniej, gdyby chociaż szło o krocie...

Przecież zachowywał się on inaczej, niż to zwykł czynić fałszerz. Nie prosił nawet o łaskę. Zawinił i gotów był znieść skutki winy z jakąś hardością, nieidącą zwykle w parze z oszustwem. Była w nim obojętność niepojęta.

Gniew Browicza minął oddawna, teraz rządziło nim inne uczucie, może ciekawość. Po za winą Murskiego kryło się coś niezna-

o wwożenie baranów, jeżeli wciąż są zapowietrzane, do osobnego budynku wprost z linii kolejowej. Żądania były nader umiarkowane; trudno również uważać za buntowniczy zamiar podanie powyższej petycji do Izby. Miało ją zanieść kilkudziesięciu robotników...

Oczywiście garnizon został uruchomiony i inne środki przedsięwzięte. Na garstkę rzeźników polowano po całym Paryżu, rozprasając ich wciąż, gdy się znowu zebrali. Po licznych przygodach kilku zdołało wreszcie dotrzeć do Izby i złożyć tam petycję. W tenże sam dzień p. Constans, minister spraw wewnętrznych, znany z mocnej pięści, zapowiedział, gdy go interpelowano, że póki on ministrem, nie będzie żadnych zebrani na ulicach.

Paryż mieć będzie wybory do rady miejskiej, które zapowiadają się bardzo burzliwie. Bulanżyści mianowicie, w sojuszu z blankistami, socyalistami rewolucyjnego odcienia i anarchistami zamierzają zdobyć w dniu 27-ym kwietnia gminę paryską. Przy powtórnej głosowaniu sklei się zapewne i sojusz z monarchistami, który obecnie został ostatecznie zerwany. Od paru już miesięcy bulanżyści robią przygotowania do zwycięstwa i niewątpliwie mieć będą powodzenie. Przed kilku dniami odbyła się na Jersey narada bulanżystowskiego sztabu, na której otrzymało „inwestyturę” generalną 80 kandydatów na przyszłych rajców Paryża. Nie obyło się bez drobnych nieporozumień. Mniej zdecydowani bulanżyści, jak b. poseł Andrieux, przeciwni byli „inwestyturze” i robili chęć „bulanżyzm bez Boulanger’a.” Ogół jednak trzyma się mocno generalskiego pióropusza. Świeżo Naquet tłumaczył, że ruch rewizjonistyczny, jeżeli ma cel jakiś osiągnąć, nie może się obyć bez uosabiania w jakiejś wybitnej postaci, tym razem w Boulangerze. Chcieć ma tego usposobienie społeczeństwa francuskiego, potrzebującego żywych figur, nie zaś abstrakcyjnych programów...

Bądź co bądź, bulanżyzm jest dziś we Francji fermentem i składa się z ludzi nader ruchliwych. Odbija on swą jaskrawość na tle ogólnej apatii i niedołęstwa. Chwila obecna przypomina zresztą nastrój, jaki poprzedził zarówno pierwsze, jak i drugie cesarstwo. Niektórzy z młodych zwolenników bulanżyzmu, jak utalentowany pisarz i publicysta Barrès, zakreślają mu program na-

der szeroki. „Spojenie dawnej Francji — pisał on — z demokracją na gruncie socyalistycznym, puszczenie w niepamięć mizerynych szykan antyklerykalnych, przyjęcie i zakończenie Rewolucji 89-go roku — oto są myśli, które odrzucone przez parlament, przenikają głęboko w masy. Bulanżyzm jest jedną fazą w rozwoju tego programu; błędem było to, że chciał go urzeczywistnić natychmiast. Wystawił weksle krótkoterminowe, które, na szczęście, mogą być prolongowane...”

Delegaci francuscy wrócili z Berlina. Juliusz Simon bardzo jest rad z pochlebnego przyjęcia. Harmonię tej wycieczki zakłóciło tylko nieporozumienie między robotnikiem p. Delahaye a resztą delegacji francuskiej. Po ostrych dość starciach w jej łonie, załagodzonych zaledwie osobistym wdaniem się p. Herbetta’a, francuskiego posła w Berlinie, Delahaye odczytał memoriał, w którym wyraził osobiste swe zapatrywania na sprawę robotniczą. Memoriał ten, na usilne żądanie wrocławskiego biskupa Koppa, zamieszczony zostanie jako dodatek w sprawozdaniu z konferencji. Delahaye rozwijał myśl o „organizacji przemysłowej,” mającej za podstawę produkcję opartą na najpotężniejszych środkach i prowadzoną na wielką skalę. Urzeczywistnienie takiego ustroju możliwe jest, według niego, tylko przy pomocy prawodawstwa międzynarodowego. Położenie robotników jest dziś, zdaniem mówcy, z każdym dniem gorsze i tylko socjalizm państwowy będzie w stanie znaleźć na to środek skuteczny.

Izby francuskie zajęte są również obecnie nowymi projektami prawodawstwa socjalnego, dotyczącego kobiet i dzieci. Nowa ustawa, zatwierdzona w Izbie, doznała w senacie zmian dość ważnych — wróciła więc znowu do Izby, która wyznaczyła specjalną komisję dla ponownego zbadania tej sprawy. Komisja jeździ obecnie po prowincji i uzupełnia swe badania. O rezultatach jej — innym razem.

Parisis.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bismark nie tylko ogółowi, ale tym którzy go dobrze znali sprawiał częste niespodzianki przez to, że bywał na przemiany

wielkim i małym, a małym właśnie wtenczas, kiedy spodziewano się, że będzie wielkim. Któż np. przypuszczał, że gdy przed paru laty zebrano 3 miliony marek dla ufundowania jakiejś instytucji publicznej jego imienia, on za połowę tej sumy każe sobie kupić dobra? Również zawodzi powszechne domysły i teraz. Ustąpił, nie chcąc poddać się woli cesarza, odszedł stokrotnie uwięziony wawrzynami i obarczony sędziwym wiekiem, monarcha do ostatniej chwili łączył się z narodem w czoł dla niego; należałoby sądzić, że Bismark, chociażby nawet czuł obrazę, zachowa godność odpowiednią swej sławie i swym zasadom, z których ułożył katechizm konstytucyjny. Ciągłe bowiem powtarzał, że jest tylko sługą swego pana, którego wola stanowi rdzeń rządu, że ani Prusy, ani Niemcy nie są państwem konstytucyjnym, ale monarchicznym. I cóż robi odjechałszy do Friedrichsruhe? Czy owinięty w togę dumy daje z siebie przykład cnoty politycznej i uległości? Nie, drwi, grozi i walczy. Drwi ze wszystkiego i wszystkich. Nadany mu tytuł księcia Lauenburskiego obiecuje nosić przy podróżach *incoognito*; o ministrach mówi, że im pomagał „siedzieć na siodle” a wybuchy zapału i owacy (których uczestnicy widzieli „ły” w jego oczach) podczas odjazdu z Berlina nazywa „pogrzebem pierwszej klasy.” „Król mnie jeszcze zobaczy” — miał rzec z tłumionym gniewem. Co przez to rozumiał nie wiadomo, w każdym razie nie wydają się prawdziwymi słowa jego żony, która miała kiedyś powiedzieć do swych gości: „wy go nie znacie, on bardziej interesuje się swoją kuchnią, niż polityką.” Wezwał bowiem do siebie wydawcę *Hamburg. Nachrichten*, pisma, które mu od lat kilku służyło za jamańnika, i po naradzie rozpoczął „natchnionymi” artykułami szarpać za łydki swego następcę a pośrednio cesarza. Zapowiedział przytem, że wystąpi w Izbie panów i przyjmie mandat poselski, ażeby mieć pole do walki. Bo on przedewszystkiem i ciągle musi walczyć. Niemcy przygotowani są na widowisko o tyle ciekawe, o ile gorszące, a gazety monarchiczne wszelkimi siłami radzą swojemu Learowi, który skarży się na „niewdzięczność,” ażeby nie poddawał się szalowi gniewu i zemsty.

Jaką rolę wobec tego wszystkiego gra i grać chce Wilhelm II, który do byłego kancлера stosował podobno swoje wyrażenie: „kto mi się opierać będzie, tego zmia-

nego; rozumiał to niewyraźnie, bo też w tym człowieku były zawsze rzeczy dla niego niezrozumiałe.

— Wszystko to dobrze — wyrzekł wreszcie, ale przecież nikt nie rzuca się dobrowolnie w przepaść, i to jeszcze za marnie trzysta rubli.

Murski tylko podniósł na niego wzrok, w którym paliła się gorączka z wyrazem tak niewypowiedzianego żalu, iż Browicz mimowoli spuścił oczy, jakby to on popełnił coś złego. Skoro suma ta wydawała mu się tak marną, dlaczegoż jej odmówił?

Pragnął teraz być stąd daleko. Bo ostatecznie czemu tu przyjeżdżał, czemu w tak nieprzyjemny sposób użył godzin odpoczynku? O czego tu szukał? Spoglądał na karosze parszające i krzeszące niecierpliwie kopytami iskry z nierównego bruku. Jednak nie ruszał się z miejsca. Oburzenie, jakiego doznał, wydawało mu się teraz dziecinne, uczciwość Murskiego niewartą była więcej, niż suma, za jaką ją przehandlował. Rzecz zwyczajna, oczywista. On jednak, co był człowiekiem bez złudzeń, uwierzyć temu nie mógł i kiedy odebrał ten list, kiedy jakiś pokątny inkasent uwiadomił go o tym wekslu Murskiego, poręczonym przez niego, nie dowierzał własnym oczom, potrzebował się dowiedzieć z jego ust... zobaczyć... przekonać się.

Teraz już nie było wątpliwości żadnej. Mógł się oddalić. Fałszerz powinien był do-

stać się w ręce sprawiedliwości, albo też jeśli chciał przez pamięć dawnych stosunów obejść się z nim wspaniałomyślnie, mógł weksel wykupić i zachować, a w razie, gdyby się jeszcze kiedy poważił nadużyć jego nazwiska, postąpiłby z nim, jak z każdym innym złodziejem. Teraz już wszystko skończone. Cóż więcej mogło być wspólnego pomiędzy szanowanym przemysłowcem, stojącym na niezachwianym stanowisku, a tym mieszkańcem przedmieściowego dworku, nędzarzem o wytartym czole?

Miał odchodzić, zatrzymał się jednak. Było coś w zapadłych oczach dawnego towarzysza, co go niepokoiło, jak pytanie, którego nie umiał rozwiązać. Znał tylu oszustów na różnych szczeblach społecznych, ale ten niepodobnym był do żadnego z nich.

— Słuchaj Murski — rzekł wreszcie. Byłeś zawsze człowiekiem rozumnym, wiedziałeś, że się to wyda, powiedz przynajmniej, na co liczyłeś?

Drugi raz powtarzał to pytanie. I drugi raz twarz Murskiego wykrzywiła się boleśnie.

Przez chwilę nie odpowiadał, stał milczący, spuszczone powieki drgały, ręce zaplótł kurczowo.

— Chcesz — wyrzekł wreszcie, nachylając się ku Browiczowi, obacz!

Pociągnął go za ramię i powiodł pomiędzy osty i pokrzywy, zarastające ogródek,

pod okno swego mieszkania. Przez stłuczoną szybę odechylił róg chustki, które je zasłaniała.

Izba była niska, odrapana, z pułapem zamiast sufitu, nierówna podłoga, pełna niedomytych plam, ram opróżnionych, zapadała się tu i owdzie. Pod oknem stał stół prosty, stołek, tapczan słomą zasłany, miska, dzbanek szczyrbaty. Ale wśród tych oznak ostatecznej nędzy, znajdowały się sprzęty, które klóciły się z otoczeniem, zdawały się dziwić ich sąsiedztwu i miały w sobie coś tragicznego, opowiadały o dawnych dostatkach.

W najczarniejszym rogu izby perski, wyblakły dywan zwieszał się ze ściany nad otomaną, na której leżał jakiś niewyraźny kształt ludzki. Przy otomanie stał stolik z różanego drzewa, na nim chińska filizanka, flakon w srebrnej oprawie i parę róż w stłuczonej skorupie. Na misternie rzeźbionej, hebanowej półeczce, stary brązowy zegar wydzwaniał ochrypłym głosem godziny i kwadransy.

Był to zabłąkany kącik buduaru eleganckiej kobiety.

Postać spoczywającej była tak wychudła, iż stary szal, który ją okrywał, nie rysował prawie kształtów żadnych. Można było wątpić, że tam leży istota ludzka, gdyby nie to, że na poduszce rozsypywały się w nieładzie włosy koloru złota.

Twarzy pod tymi włosami dostrzedz nie było można, tylko z szalu wynurzała się rę-

dę, który miał odwagę go usunąć, który jest ciągle przez niego obrażany, a nie przestaje jemu i jego synowi okazywać przyjaźni, a nawet przyjął protektorat w komitecie pomnika dla Bismarka — zgadnąć trudno. Ponieważ przytem „kurs pozostał dawny,“ chociaż statek ma płynąć „pełną parą,“ ponieważ nowy kanclerz w swej mowie do sejmu pruskiego zgasił nadzieje co do „nowej ery,“ więc nie dziwnego, że Niemcy czują niepewność położenia, na której tem wyraźniej odbija się potężna postać „żelaznego księcia.“ Nie zaćmili go ani nowi ludzie, ani nowe czyny. Oczyszczono tylko stajnię Augiaszową prasy gadzinowej, ale samo to nie czyni jeszcze Capriviego Herkulesem.

Prezydent Rzeczypospolitej, Carnot, nie naśladuje swego poprzednika, który dawał mu 600,000 fr. „na reprezentację“ chował do kieszeni i objędzą za nie Francję, wszędzie witany z zapalem, wszędzie zmuszany do zaznaczenia swej... skromności. Francuzi zachwyceni są tą wędrówką, bo przepadają za deklamacją polityczną.

W ostatnich czasach stosunki między Francją a Włochami ogrzały się nieco. Temperatura ich po ustąpieniu Bismarka może znacznie wzrosnąć, zwłaszcza gdy jego „przyjaciół“ Crispi znajdzie swoje Friedrichsrue.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z NAD BAŁTYKU.

Bał Arkonii. — A. Zawadzki. — Przedstawienie amatorskie. — Sprawozdanie rys. kat. Towarzystwa dobr. — Zapis dr. Jałowickiego. — Śmierć Z. Choroszewskiej i A. Goreckiego.

Króciej niż zwykle, ale „ochoczo,“ bawiły się nasze „nadobne“ i „strojne“ panny, „dziarska“ i „elegancka“ młodzież, a mamy rzetelnie na kanapach wypaść się zdołały. Hasło do zaczęcia zabaw dał bał korporacji studenckiej „Arkonia,“ jak zwykle, świetny, który przysporzył kasie stypendyalnej tego stowarzyszenia przeszło 800 rs. czystego zysku. Dwa wieczory zajął p. A. Zawadzki, b. artysta teatrów lwowskiego i krakowskiego, „jedy-

ny w swoim rodzaju,“ jak sam się na ogłoszeniach mieni, deklamator monologów. Że p. Fiszer jest drugim „jedynym“ w tym rodzaju — to prawda; że takich „jedynych“ znajdzie się może jeszcze kilku, to prawdopodobnie. Również atoli prawdą jest, żeśmy się dobrze na tych wieczorkach, ludnych, bawili.

Aż w tem na korzyść miejscowego katolickiego Towarzystwa dobroczynności urządzono widowisko amatorskie. Tu podobno już źle nam było. Choć bowiem p. Jowialski doskonale deklamował swe zadługie i zaczęste bajki, choć sam „jeden w swoim rodzaju“ Zawadzki przekręcał ustami Ludomira pyszną mowę Fredry, całość podobno się nie udała. Publiczności było dużo, wszystkie bilety rozprzedano i zysk wyniósł przeszło 800 rs., tj. niebywałą, jak dotychczas, sumę. Nieprowodzenie samego przedstawienia wynikało z powodów od amatorów zupełnie niezależnych.

Dano im bowiem sztukę nieodpowiednią i czasu do nauczania się zaledwie dwa tygodnie. Piszę o tym teatrze tyle, bo wysoko cenię tę rozrywkę, szczególnie tu u nas, na kresach. Pieszczyć tę chociaż dorywczą scenę polską, która przynajmniej raz na rok, w niemieckim grodzie, dozwala brzmieć głośno swojskiej mowie. Publiczność wywołaniem aktorów i reżysera wdzięczność swą wyraziła. Tymczasem sprawozdawcy niektórych pism swem nietaktownem postępowaniem paraliżują działalność w kierunku rozwoju takiej pożytecznej zabawy. Trzeba wiedzieć, jakie trudności przecięży trzeba, zanim się pozyska dla publicznego występu amatorów, a szczególnie amatorów — panny. A tu np. ktoś w *Kraju* wymienia rolę jednej z amateerek, której gra miała aż drażnić nerwy czulego sprawozdawcy. Po takiej krytyce już ta panna, ani żadna z jej znajomych na pewno nie da się namówić do udziału w przedstawieniu. I na wszystkiemu wygra zapewne teatr francuski, bo polski trudno będzie doprowadzić do skutku.

W czasie antraktów na przedstawieniu tem grała orkiestra amatorska, złożona z członków korporacji studenckiej „Welecy-a.“

Wspomniane Towarzystwo wydało za 1889 r. sprawozdanie ze swej działalności, niewątpliwie pożytecznej. Rozchód wyniósł w roku sprawozdawczym 8,597 rs. 86 kop., dochód zaś 9,608 rs. 23 kop., nadto wpłynę-

ło jeszcze 20,450 rs. do rachunku kapitału. Tę znaczną sumę zapisał Towarzystwu zmarły w roku zeszłym dr. med. Julian Jałowicki. Pozostawił on prócz tej kwoty jeszcze 10,000 rs. w rękę Towarzystwa dla kształcenia młodzieży należącej do jego rodziny. W ochronie utrzymywało Tow. 52 wychowance; w przytulku dziennym 80 chłopców; do szkoły parafialnej uczęszczało 79 dziewcząt i 55 chłopców; w drugiej szkółce parafialnej, na przedmieściu Mitawskiem, pobierało nauki 56 uczniów i 29 uczenice. Nadto za 4 osoby opłacono wpisy w średnich zakładach naukowych. Reszta działalności Towarzystwa pochłonięły zwykłe wsparcia, udzielane ubogim. Jak na drobną instytucję — rezultaty to niemałe. W r. z. straciło Towarzystwo przełożoną ochronki, p. Zofię Choroszewską, która z zaparciem się, z ofiarą zdrowia i pieniędzy przez lat 11 obowiązków swój pełniła. Ryską nekrologię zwiększa zmarły przed niedawnem student politechniki tutejszej, Adam Gorecki, wnuk Adama Mickiewicza, któremu młodzież z korporacji „Arkonia“ wspólnie wyprawiła pogrzeb.

A. R.

WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO JEDWABNICZE.

Założona w r. 1853 a zatwierdzona w 1855 na lat 30 spółka jedwabnicza, której promotorowie należeli do celniejszych obywateli kraju naszego, skończyła swój żywot w r. 1885. Nie mogąc, wskutku nieprzyjanych okoliczności stworzyć przemysłu, który i w takiej Francji sto lat walczył z trudnościami, spółka z przemysłowej, jaką ją stworzono, zamieniła się w ostatnich dziesięciu latach swego istnienia na niebezpieczne narzędzie propagandy jedwabnictwa. Członkowie jej pragnąc przedłużyć to działanie, przyjeżdżali na trzech ostatnich ogólnych zebraniach projekt ustawy dla nowego Towarzystwa jedwabniczego, ułożony przez radę nadzorczą spółki, przekazując mu swoje cele, uzasadnione nadzieje i całe mienie spółki dla tem skuteczniejszego dalszego działania.

Zatwierdzona przez rząd w d. 29 grudnia r. 1889 (10 stycznia r. 1890) „Ustawa warszawskiego Towarzystwa jedwabniczego“ określa cel Towarzystwa, jako popieranie rozwoju jedwabnictwa w kraju tutejszym, wszelkimi nadającymi się do tego sposobami, jak: rozpowszechnianie morwy, dostarczanie żądającym zdrowych jaj-

ka drobna, jak u dziecka, wązka, wychudła, przezroczystej białości, z obrączką na serdecznym palcu, której wielkość nie odpowiadała już jego dzisiejszej objętości.

Ta mała, delikatna, zbiedzona rączka, miała także swoją wymowę. Zdawała się skarżyć na los ciężki, który ją tu rzucił, na cierpienia, które wyssały z niej krew, zjadły ciało i uczyniły podobną do ręki kościotrupa, drżała, poruszała się niespokojnie, jakby szukając opieki; palce nerwowym ruchem wodziły po powierzchni szalu.

Tu widocznie był klucz zagadki, tu sprężyna czynów Murskiego, bo skoro jego oko zatrzymało się na tej postaci, zdawał się zapominać o tem, co nią nie było. Browicz, groza położenia, wszystko to dla niego istnieć przestało. Widział tylko ją jedną. Nagle narzucony szal na spoczywającą wstrząsnął się cały a z pod niego dał się słyszeć kaszel ciężki, chrapliwy, suchotniczy.

Murski szybko zasłonił okno.

— Błagałem cię na klęczkach o pomoc — wyrzekł z wyrzutem — mówiłem przecie, że mi żona umiera.

Rzecz niesłychana, zamiast oburzyć się na zachwałność tych słów, przemysłowiec tłumaczył się prawie.

— Czyż mogłem wierzyć, tak przecie mówi każdy, nawet żebrak pod kościołem, że ma dzieci i żonę, które trzy dni nie jadły.

— Tak, byłem żebrakiem, nie zasługiwałem na wiarę. Tylko ja... mówiłem prawdę. Pytałeś, na co liczyłem, podpisując ciebie na wekslu? Liczyłem, że ona umrze, zanim termin nadejdzie.

Ukrył twarz w dłoniach i milczał przez chwilę. Nie mógł znaleźć słów na oddanie myśli.

— Przeliczyłem się — rzekł wreszcie, usiłując zapanować nad sobą. Każdy dzień miał być ostatnim a dochodził do wieczoru. Skończy ona... skończę i ja... ot wszystko...

Kaszel chorej się wzmacniał. Murski to tylko słyszał.

Browicz przez chwilę spoglądał na dawnego przyjaciela. Zrenice jego straciły stalowy swój odbłask, powoli rozchyliły zaciśnięte wargi. Wobec straszliwej katuszy, na którą patrzył, budziły się w nim jakieś uczucia, ukryte gdzieś na dnie duszy, o których istnieniu nie wiedział...

— Murski — wyrzekł — kładąc mu rękę na ramieniu.

Zagadniony nie zwrócił nawet oczów.

— Słuchaj Murski, nie będę cię gubił.

Spodziewał się zapewne wybuchu wdzięczności, ale ten nędzarz, któremu winę darował, słyszał tylko kaszel żony, drżał, wstrząsał się, jakby on jemu rozrywał pierś, a wspaniałomyślne słowa przyjął ruchem świadczącym o zupełnem zubożeniu, ruchem podobnym do tego, z jakim pływak,

zmordowany walką, z przeciwną falą, opuszcza ramiona i idzie na dno.

I znowu jakaś struna nieznana drgnęła w przemysłowcu. Machinalnym ruchem dobył pugilaresu... Zamierzał dać kilka, kilkanaście, najwyżej dwadzieścia rubli...

Murski dostrzegł banknoty. Była ich cała paczka, odcinały się wyraźnie ich zbrukane barwy na fioletowym atłasie pugilaresu. Ręce jego zaczęły drżeć gwałtownie, zrenice nie mogły się oderwać od tego widoku, jak oczy głodnego zwierza od nęcającej strawy. Pieniądże te mogły przynieść ulgę, kto wie, może uleczyć nawet suchotnicę.

Gdyby je miał, uniósłby ją daleko pod łagodne nieba. Czasem dzieją się cuda... Gdyby je miał.

Browicz pochwycił jego spojrzenie i cofnął się o krok.

— Hol hol! taką drogą dochodzi się do zbrodni. Ty byłeś uczciwym...

Murski spuścił głowę. Po cóż ten człowiek, jakby na urągawisko jego nędzy, pokazał mu te pieniądze. Była tu suma, przewyższająca niezawodnie tę, na którą weksel sfalszował.

— Byłem kiedyś uczciwym — szepnął zduszonym głosem.

Browicz był w przystępie niepojętej wspaniałomyślności, ważył w rękę pugilares.

— Może — wyrzekł — mógłbyś nim być jeszcze.

BADANIA NAUKOWE.

NOWE PRACE EKONOMICZNE.

J. Mittelstaedt: *Rozmyślanie nad nowym systemem ekonomii politycznej*. Warszawa, str. 400.

czek jedwabniczych, zakupywanie wyprodukowanych kokonów, dawanie wskazówek odnośnego postępowania za pomocą druku we wszelkiej formie, odczytów, pogadanek. Towarzystwo ma prawo urządzać wystawy, udzielać medali, listów pochwalnych i innych nagród, używać własnej pieczęci, nabywać potrzebne mu nieruchomości, wyznaczać korespondentów z główniejszych ognisk jedwabnictwa krajowego itp. Członkami Towarzystwa mogą być osoby pełnoletnie bez różnicy płeć i stanu (z wyłączeniem uczniów szkół publicznych, niższych wojskowych i skazanych sądowo). Członkowie *rzeczywiści* wnoszą rocznie składkę rubli pięć lub rubli sto raz na zawsze, z jednorazowym wpisem rs. jeden; członkowie *protektorowie* wnoszą jednorazowo najmniej rs. trzysta; członkowie *honorowi*, wybrani z liczby osób szczególnie jedwabnictwu zasłużonych, nie opłacają żadnych składek. Wszystkim trzem kategoriom członków równe służą prawa, do których należy: nabywanie po niższej cenie wszelkich potrzeb jedwabniczych, o ile je Towarzystwo w danej chwili zaspokoić może; bezpłatny wstęp na wykłady o jedwabnictwie i na wystawy, urządzone przez Towarzystwo; otrzymywanie bezpłatne wydawnictw własnych przez Towarzystwo dokonywanych itp. Właściwe paragrafy ustawy określają zakres i porządek działania zebrań ogólnych, wybory, obowiązki i skład zarządu i tym podobne szczegóły organizacji wewnętrznej, oraz stosunek z władzami.

Osoby, chcące popierać jedwabnictwo, o którego dodatnich, moralnych i ekonomicznych wynikłościach nigdzie już nie wątpią, którego możliwość istnienia w naszym kraju dowiedziona jest przez naukę i praktykę ciągłą wielu osób, zechcą się zgłosić do jednego z podpisanych założycieli Towarzystwa i upoważnionych do zbierania składek za pokwitowaniem oraz udzielania egzemplarzy ustawy Towarzystwa.

Jerzy Aleksandrowicz b. dziekan uniwersytetu warszawskiego, dyrektor Muzeum przemysłu i handlu, Smolna nr. 28; Jan Banzemer magister prawa i nauk ekonomicznych, urzędnik warsz. Towarzystwa ubezpieczeń, Marienstadt 4; Emilian Broniewski naczelnik kancelarii warszawskiego kantoru Banku państwa, Elekoralna 2; Aleksander Łapiński obywatel, Nowy-Swiat 68; Wiktor Magnus dyrektor Towarzystwa „Merkury,” Hoża 32; Aleksander Makowiecki, dyrektor Towarzystwa kred. m. Warszawy, Chłodna 10; Antoni Nagórny, b. w.-prezes b. Banku polskiego, Mazowiecka 4; Józef Sikorski, b. redaktor *Gaz. pols.*, dyrektor b. spółki jedwabniczej, Marszałkowska 153.

Murski wzruszył ramionami.

— Ja — wybuchnął — alboż ty nie wiesz, co życie z ludźmi robi... Byłem kiedyś uczniem, miałem szlachetność, honor, potem przynajmniej wstyd znaczny... Dziś... Los powalił mnie raz i drugi... szamotałem się z nim... szamotałem daremnie... Co tu gadać! Ot, gdybym podobne słowo usłyszał kiedyś, gdyby... Kto wie... Teraz cóż ze mnie, wytarty łachman przeszłości... Może nie byłem tak winny... Są rzeczy niepowrotne. Choćbym nie był napiętnowany wobec świata, jestem nim we własnym sumieniu... Straciłem szacunek własny... Niech tylko ona nie wie nigdy. Niech umrze pod dachem na mojem ręku... Potem...

— Potem Murski...

Spojrzał na przemysłowca, jak człowiek spadający z obłoków.

— Potem? Alboż potem dla mnie istnieje. Póki ona żyje, mogę dla niej kraść i rozbijać. Gdy jej nie będzie, nie ruszyłbym palcem... Spójrz na mnie... Cóż ja jestem? Trup tylko.

U chorej powtórzył się napad kaszlu. Murski rzucił się ku drzwiom, zapominając o Browiezu, a ten mógł dostrzedz przez okno jak zbliżył się do chorej, podnosił ją, tulił, ocierał pot z czoła. A ona zarzucała mu blade ręce na szyję i uśmiechnąć się chciała.

Trup teraz był zgalwanizowany, twarz odzyskała pozór młodości, biła z niej miłość bez granic, gdy brał tę wątłą postać w ramiona.

Przez czas jakiś przemysłowiec spoglądał na to w zamyśleniu. Jakis świat nieznany otwierał się przed nim. I sam nie wiedział, jak się stało, iż pugilares z banknotami wsunął przez stłuczoną szybę i popchnął ręką, by upadł w głąb pokoju. Potem powoli skierował się ku swemu amerykańskiemu, wziął leżące z rąk Franka i powracał do miasta.

Konie szły stępą, nie poganiał ich, nie spieszył, puszczał wodze myślom, obojętny na wrażenie jakie sprawiał.

Dopiero kiedy dojeżdżał do willi i spotkał kilku znajomych, zaczął odzyskiwać zwykłe usposobienie, jak gdyby odnajdował samego siebie. Wyprostował się, obejrzał w koło, zaciął konie i wjechał w bramę, którą z pospiechem przed nim otwierał czatujący na tę chwilę odzwierny.

Sztamowe róże kołysały się na wysokich łodygach, w oknach odbijało się jaskrawo zachodzące słońce a lustrzane szyby z za splotów bluszczu i wina wyglądały jak ogniste rubiny w oprawie ciemnej zieleni. Zwir zaskrzypiał pod kołami, Browicz był znów w swoim właściwym otoczeniu, wśród domu, ogrodu, przedmiotów i ludzi poświęconych wyłącznie jego wygodzie, jego przyjemności: wchodził w swą codzienną koleję.

Zapalił cygaro, usiadł na werendzie i bujał się znowu na swoim fotelu, wciągając z rozkoszą w piersi atmosferę przesyconą

jest sumie kwadratów obu katetów *), to za-bito 100 wołów bogom na ofiarę, i od tego czasu, gdy ktoś co nowego odkryje, ryczy wszystko bydło... Cokolwiek jednak sądzi o sobie twórca *Rozmyślań*, my we wszystkich jego „nowych” prawdach spotykamy nader dawnych a dobrych znajomych. Są to w gruncie rzeczy właściwe małemu dworkowi szlacheckiemu widnokreśli ekonomiczne i projekty reformacyjne. Ież razy te same dosłownie zdania odbijały się o uszy nasze przed laty piętnastu! Aby z książki p. Mittelstaedta odnieść można było zupełnie podobne wrażenie, jak z gawęd na ganku dworu wiejskiego, brak w niej tylko jednej rzeczy, mianowicie różnych wtęgotów w rodzaju: „szanowny sąsiadzie,” „panie dobrodzieju.” Nawet rozwijana przezeń utopia społeczna i związane z nią „nieznane prawo rolnicze” i suma 70 miliardów, odkryta dla Rosyi, wszystko to są rzeczy, zdradzające to samo źródło pochodzenia. Mianowicie usiłuje on dowieść, że gospodarstwa ziemskie, mniej niż półwłókowe, są dla państwa nie warte, „mają zero wartości,” o ile mowa o produkcji zboża, mięsa i wełny. Bogactwo państwowe polega, w jego rozumieniu, dopiero na gospodarstwach powyżej półwłókowego rozmiaru. J. Mittelstaedt dowodzi bowiem, że dochód z pojedynczej włóki wzrasta równolegle z rozszerzeniem się folwarku. Zresztą wzrost ten posiada swoje granice; kiedy rozległość folwarczna przejdzie po nad włók 30 (przy warunku, że zabudowania stoją w pośrodku), odleglejsze pola zaczynają przedstawiać coraz mniejszą siłę produkcyjną, aż nareszcie w zbyt wielkiej odległości ziemia przestaje przynosić jakąkolwiek korzyść i schodzi w wartości swojej do zera. O znaczniejszą wydajność wielkich przedsiębiorstw rolnych nad drobnymi osadami, rozumie się przy umiejętnem gospodarowaniu, spierać się nie będziemy. Jednakże dla nas obecnie najważniejszem jest, że właśnie na zastosowaniu powyżej wskazanego dowodzenia do życia polega dokonane przez autora odkrycie 70 miliardów.

„Nowy system ekonomii politycznej,” lubo zawarł w sobie mnóstwo rzeczy, od rozpraw natury metafizycznej aż do anegdotek o cudach częstochowskich, najmniej wszakże zajmuje się szczegółami czysto-

*) Nazwy te są własnością autora; po polsku: *przeciwprostokątna i boki*.

woniami kwiatów. Umysł jego odzyskiwał wolną zwykłą równowagę, przywyknienia całego życia ogarniały go znowu, a gdy myślał nad tem, co widział i co uczynił przed chwilą, zdawało mu się, że to był sen jakiś przykry. Cygaro zaledwie do połowy było wypalone, gdy doszedł do przekonania, iż Murski był waryatem najgorszego rodzaju, a szaleństwo jego zaraźliwe, skoro on, on sam był wzruszony jak dzieciak. Gdy je kończył, a Fräulein Augusta przyniosła mu własną ręką filiżankę herbaty, żał mu się zrobiło pieniędzy, tak nieopatrznie rzuconych w przepaść ludzkiego serca; żałował ich tem więcej, iż uznał za stosowne dać jakiś upominek Fräulein Auguste, która gospodarowała wzorowo i myśli jego odgadywać umiała.

Był zły na swą niepojętą hojność, na Murskiego, na chorą i zapytywał sam siebie, czy było rzeczą możliwą, aby pierwszy raz w życiu zrobił paręset rublowy datek, o którym nawet nie wspomni żadne czasopismo.

— O! — zawołał gniewnie, rzucając niedopałek cygara i depcząc go nogą — zrobiłem kapitalne głupstwo.

W. Marrené.

ekonomicznymi. Można by nawet rzec, że cała oryginalność tego „nowego systemu“ polega właśnie na tem, że brak w nim żywiołów natury ekonomicznej. Wprawdzie tu i owdzie potrąca autor o odnośne zagadnienia, lecz tylko po to, aby wykazać niezrozumienie rzeczy. „Te subtelności scholastyczne w definicji wartości (są) do niczego, ale główny błąd w tem leży, że pomieszane są pojęcia wartości i ceny i sama definicja wartości nie odpowiada naturze rzeczy. My stawiamy śmiało nowy system... Błędne było, że wartość reprezentuje pracę a podług Bastiata przysługę, że więc praca i przysługa jedynie zbogaca. Wartość, podług nas, nie zawsze reprezentuje pracę i przysługę, np. las nad rzeką splawną z belkownią ma wysoką wartość, i grube pokłady węgla kamiennego — a właśnie dla tego mają wartość, że tam kupiecka siekiera i łopata górnika nie pracowały. Wartość ziemi jest wieczna, bo zależy od przyczyn wiecznych... Rzecz może mieć wysoką wartość a małą cenę, np. dobra książka... Teorya, że praca tworzy bogactwo, bala mu ci próżno głowy, bo są prace z bogaczące, ale jest bardzo wiele obojętnych i bardzo wiele prac niszczących bogactwo narodowe. Np. prusacy pracowali burząc wieś francuskie i mordując ludzi... Nauka o przysługach też nie nie warta, są przysługi okropne w skutkach.“ Powyższy, nieco przydługi wyjątek (miejscami „pofalszowany“, gdyż opuszczenie kilku ustępów podnosi rozumowanie autora do niewłaściwej mu wielkości i łączności) należy do nielicznych w książce miejsc czysto-ekonomicznych i daje najzupełniejsze o niej pojęcie. W gruncie rzeczy ekonomia polityczna zamieniona została na etykę religijną. „My musimy poznać Boga, bo przekonamy się następnie, że całe zadanie ekonomii politycznej na tem właśnie zależy, abysmy poznali naszego Stwórcę. Od tego zależy dobrobyt pojedynczego człowieka i bogactwo narodu, i szczęście ludzi na ziemi i wieczności.“ „Jedynym złem na świecie duchowym i materyalnym jest grzech... grzech jest to jedyną zaporą na drodze do bogactwa narodowego. Jeżeli jeden z grzechów głównych opanuje człowieka lub naród, np. obżarstwo, to przy oszczędności i pracy może egzystować, tylko pycha-matka wszystkich grzechów sama wystarczy do doprowadzenia do ruiny, bo życie będzie nad możność — ale trzy grzechy główne gdy naród opanują to bardzo prędko ruina nastąpić musi.“ W tych wyrzeczeniach zawiera się treść nowej prawdy, obwieszczonej w II rozdziale książki, stanowiącym piątą część całości. W następnym rozdziale o asocjacji autor wskazuje odpowiednie środki: bractwo opieki nad moralnością i honorem. Stworzenie takiej instytucji, która pomogłaby do szczęścia i postępu przez podniesienie siły „moralnej“ (tj. religijnej) narodu, jest sprawą nagłą. W jaki sposób winno działać wspomniane bractwo — pomijamy; dość powiedzieć, że obowiązkiem jego jest pamiętać o tem, że duchowieństwo stanowi naturalnych i najważniejszych urzędników moralności. Treść rozdziału o państwie zawiera się w wyrzeczeniu, że najrozumniejszą konstytucję mamy już gotową w chrześcijaństwie.

Lecz dość już tego „nowego systemu ekonomicznego“, przytoczone bowiem wyjątki jasno uca, na czem on polega i dokąd zmierza. Jeśli się nie mylimy, autor nadaje mu nazwę „słowiańskiego“ i przeciwstawia „germańskiemu.“ „Są w sercu słowian iskry, które trzeba rozżarzyć w potężny płomień miłości, są w głowie myśli zbawczo — a pragnąłbym być pierwszym echem tego głosu, który zniweczy moc złego ducha, i całą ludzkość wyprowadzi z zaczerpniętego koła nie do wyjścia, wskaże drogę do postępu i szczęścia w pokoju.“ Tymczasem Niemcy przy rozbojach zatracili cechę człowieka, są barbarzyńcami wyrefinowanymi i to tem obrzydliwszymi, że mają na-

ukę i cywilizację materyalną. „Era niemiecka się skończyła. Słowianie, lud jedyny na globie co ma głęboko w duszy cnoty chrześcijańskie musi na przyszłość świata przewodzić.“ Wtedy zapanują miłość, cnota, prawda...

Tak wygląda całokształt nowej prawdy, nieznaney dotychczas a odkrytej przez autora. Odkrycie to prawdopodobnie jest rzeczą samorodną i nawskróś oryginalną, co jednak nie przeszkadza, aby nie zostało już kilkakrotnie dokonane i nawet usystematyzowane w całą szkołę. Jakoż to samo wyznaczenie wiary „ekonomicznej“ wykluwa się w wielu miejscach Europy na podkładzie ultramontańsko-feodalnym. Działalność biskupów francuskich i belgijskich, prawdy ekonomiczne Lichtenstejnów i niektórych listów papieskich, wszystko to są owoce tej samej filozofii społecznej, którą widzimy u naszego autora. Są jedynie różnice i zabarwienia wynikające z warunków miejscowych. „Era niemiecka“ p. Mittelstaedta gdzieindziej nosi nazwę jakobińskiej, żydowsko-liberalnej itd. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy. Ciekawą rzeczą byłoby zbadać, jakim zmianom uległa owa dążność europejska, przechodząc z gruntu feodalnego na nasz szlachecki. Byłaby to kartka z psychologii społecznej i jeśli książka p. Mittelstaedta ma jakąś wartość, to tylko właśnie jako przyczynek do podobnych studyów. Niech ukaże się jeszcze druga i trzecia, i wszystkie one złożą się na surowy materyał w tym przedmiocie. Innego znaczenia praca ta nie posiada. Kończąc tych kilka słów krytycznych, musimy uniewinnić się, jeśli nasze krótkie sprawozdanie dało czytelnikom niesłuszne pojęcie o książce. Sposób wykładu jest bowiem taki, że wciąż należy pytać, czego chce autor, dokąd zmierza i w jakim związku jest jedno zdanie z drugim — co więcej pozostawia wciąż bez odpowiedzi.

F. Flamm: *Współki rolniczo-ekonomiczne na tle prawnictwa porównawczego*. Lwów, str. 125.

Praca p. Flamma posiada pewną cechę pokrewną książce p. Mittelstaedta. Ten ostatni, pisząc dzieło niby ekonomiczne, porusza jak najmniej właściwie ekonomiczne zagadnienia lub raczej usiłuje przenieść punkt ciężkości z ekonomii na pole etyczno-religijne. Podobnie i rozprawa p. Flamma o spółkach rolniczych, zwłaszcza jeśli usuniemy dodatki, stanowiące dział najważniejszy, zajmuje się w większej części pytaniami zupełnie lub prawie obojętnymi dla obranego celu. A zatem mamy przedewszystkiem zarys stanu większej własności w Królestwie, przedstawiony według znanej pracy p. L. Górskiego (wiadomości statystyczne w tej mierze, przypuszczalne powody złego jej położenia, środki usunięcia niedomagań). Następnie idą wiadomości z ekonomiki w odniesieniu do wytwórczości rolniczej: znaczenie przemysłu rolnego w społeczeństwie, stosunek wymienionego przemysłu do fabrycznego, czynniki wytwórczości, podział pracy. Wreszcie ukazuje się analiza gospodarstwa wiejskiego; w ustępach tych mówi się o naukach potrzebnych w rolnictwie, w ich zaś liczbie znajdujemy nawet logikę; o tem, czem jest ziemioznawstwo, jakie produkty zawiera w sobie rolnictwo — itd. Słowem, temu wszystkiemu poświęcono niemal pół książki, aczkolwiek ostateczne rezultaty, potrzebne lub pożyteczne dla dalszych wywodów, dałyby się streścić na jednej lub dwu stronicach. Wszystko bowiem sprowadza się mniej więcej do zdania, że zarząd w rolnictwie potrzebuje bardzo różnorodnych wiadomości i czynności, a zatem, że bez odpowiedniego podziału pracy bezwarunkowo nie zdoła on doprowadzić do odpowiedniego wyzysku wydajności rolniczej i stosownie wysokiej renty. Mianowicie chodzi tutaj o podział w zakresie pracy umysłowej, kierującej. Produkcja rolnicza rozpada się na grupę rolniczą i zwierzęcą oraz zarząd ad-

ministracyjny. Średniej wielkości folwarki a nawet znaczne majątki nie mogą w żaden sposób pozwolić sobie na trzymanie odpowiednich specjalistów, gdyż to nadmiernie zaważyłoby na budżecie gospodarskim. Można w tym razie niezbędny podział pracy urzeczywistnić inną drogą, mianowicie przez połączenie się najbliższych sąsiadów w celu zużytkowania gospodarstw na rzecz wspólną. Właśnie to nazywa autor spółkami rolniczymi i przystępuje w ciągu dalszym do rozpatrzenia ich. Wyznajemy, że i tutaj jest więcej zbytecznego balastu, aniżeli istotnie pożytecznych dla kogoś wiadomości. Można powiedzieć, że najdonioślejszą wartość praktyczną w całej książce posiadają dopiero dodatki, jeden o zasadach oszacowania, drugi podający wzór umowy dla łączących się we spółkę rolniczo-ekonomiczną.

W całym słowa znaczeniu autor stoi na stanowisku interesów własności wielkiej. Rozpatrywane spółki tylko ją mają na celu. Z tego też stanowiska patrzy p. Flamm na różne sprawy, np. serwitutową (str. 12, 13). Zresztą o podobne zagadnienia potrąca on mimochodem, zagłębiając się całkowicie we wskazaną sprawę praktyczną.

K. R. Żywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Walerya Solecka: *On i Ona*. Nowele z przedmową Henryka Sienkiewicza. Lwów.

Znany rzeźbiarz T. Błotnicki, mąż autorki, zgasłej w kwiecie młodości, ogłosił tę spuściznę literacką po swej żonie, obejmującą siedm — drukowanych przeważnie w pismach codziennych — nowelek. Przypatrzmy im się bliżej, zanim wydamy sąd o całości. Droga indukcyjna wydaje mi się tem niezbędniejszą, że charakterystyka autorki, narysowana lekkim piórem i jeszcze lżejszem sercem przez p. H. Sienkiewicza, wychodzi — jak się przekonamy — z dedukcji, nieopartej na faktycznym stanie rzeczy. Pierwszy z rzędu utwór p. t. *On i ona* przedstawia nieczem nie zakłócony obrazek szczęścia dwojga zakochanych, obrazek rodzajowy, umajony kwieciem miłości, ozłocony jesiennymi owocami małżeństwa, cały jednak skąpany w promieniach sielankowego idealizmu. Początek opowiadania rozgrywa się w dusznej atmosferze balowej, przeładowanej ciężarem zarówno przedmiotów zbytku, jak stylu autorki. *On*, to karykatura ulana; wysoki jak ów „olbrzym z hajki“, co pożera na śniadanie dwanaście dziewczę, zostawiając tylko długie ich warstwy — szeroki, barczysty, z mięśniami „gladyatora“, z wąsami długimi „jak mioty“, „spoglądał z miną marsową, jakby sam jeden chciał powalić cały batalion piechurów, lecz w ogniu miłości topniał jak wosk. *Ona*, ta istna czarodziejka: gdzie stópką dotknie, tam trawa wyrasta. W zbytku i pieszczotach wychowała się na jakąś nadludzka cnota i sielachetności istotę. Karmiona mlekiem piosnek ukraińskich doszła do takiej znajomości życia, że kiedy spojrziała na człowieka, to wiedziała już od razu, czy mu w piersi bije serce złote, czy pełne robaków. Kiedy „anioł“ jej oświadcza się na klęczkach o jej rękę, zapewnijając, że jeżeli tylko zechce, on wydestanie dla niej perły z mórza i gwiazdy z nieba pościąga, ona, jak przystało na kochankę romantyczną — mdleje...

Wreszcie on ją zawozi do sw. zielonej, wesolej i ciepłej jak ptasie niazdko, wioski.

Otóż jak ona sobie teraz wyobraża zadanie kobiety. „Pan będziesz siał z to i hre-

czkę, a ja będę miała *białe* krówki i *białe* kurki i *gołąbki*, *stoneczniki* złote i *maki* purpurowe — będę len przedła i weinę, *jak grecka królowa*...” I rzeczywistość nie odbiegła daleko od tych sielankowych marzeń. Prześniewszy poranek, „*pedziła białego kotka, zanurzała ręce w zroszone krzaki bzu, chciała całować kwiaty, niebo, słońce, całować... całować...*” A potem wzięwszy ogromny pęk kluczy, zaczęła *gospodarzyć*: karmiła kury, głaskała je, *prosząc, by jadły*. W *stajni* pytała o *nazwę* każdej krowy, odrywała wstążki od swego szlafrocza i krowom na *szyi wisała różowe kokardy*. „Całe to smutne, twarde, pełne krawych obowiązków życie wiejskie pozostało dla niej różową sielanką, pozbawioną cierni i głógów, jasną jak niebo bez chmurki, a tak sztuczną, jak owa malowana przyroda p. S., przygarniająca do swego łona jednocześnie rozkwitające róże, bzy, lilie i — poziomki ze śmietaną. W obrazku p. t. *Jej dziecko* zdobywa się autorka na śmielsze napiętnowanie zgnilizny moralnej salonów, szkoda tylko, że to czyni na przykładzie, zestawiając ubóstwo z bogactwem w zbyt jaskrawych, nieestetycznych kontrastach.

Ona, której dziecko dogorywa w ostatniej nędzy, zwałone na zranione plecy biedaczki, bawi się i szaleje wśród tłumu wielbicieli, uważając życie za przejażdżkę po salonach na złotym rydwanie, wysłanym różami i klejnotami, a ciągnionym przez niewolników jej wdzięku i majątku. Miała niegdyś lepsze instynkty — miłość, która mimo zakazów bon i przepisów dobrego tonu wtargnęła do jej piersi, ogrzała i ozłociła na chwilę karmione plesnią serduszek. Na murawie pełnej dzwonek i paproci, wśród zapachu jodeł, rozpoczął się ten romans dziesięć lat, a kochaniu temu śpiewały słowiki, łoża słały kobierce kwiatów; gdy im dnia było za mało, księżyc pożyczal swego srebrnego płaszcza, a noc otulała mgłami przed okiem ludzi, sypiąc gwiazdami na szczęśliwych kochanków. Owocem miłości było właśnie to dziecko. Aby uniknąć skandalu, wywieziono je za granicę i tam wydano za jakiegoś cudzoziemca. Nie czując w sobie siły do żadnej walki, poddała się pani Ida losowi. Ze łzami, wylanymi w pożegnalnym liście do kochanka, spłynęły ostatnie iskielki uczuć, które zgasiła na zawsze w jej piersi atmosfera pozłacanego zepsucia i egoizmu. W kilka lat później zasłynęła pani Ida jako gwiazda pierwszorzędną wielkości i blasku, a długie pasmo jej tryumfów przerwała na chwilę śmierć dziecka miłości, wyrzuconego z nędzy na bruk.

Z „Krasenką” wступujemy na grunt realny życia chłopkiego, już nie z drugiej ręki, ale wprost z natury cherpanego. Autorka, córka księdza ruskiego, miała sposobność za młodu poznać dokładniej lud wiejski, występujący na obrazku w swym narodowym stroju, ze swymi obyczajami i swoją gwara. I tu jednak nie otrzymała się zupełnie z naleciałości romantycznych, jak np. w przedstawieniu miłości Motry do Andrucha, gdzie *ona* „całowała go, całowała do skończenia świata,” a *on* „ją ino całował, obejmował a całował.” Nawiasem mówiąc, chłop nasz nie lubi takiego „emokania,” a nawet „lizania” dzieci unika. Wogóle jest Motra chłopką szlachetniejszego zakroju. Istna to „Juno słowiańska,” każdy jej ruch wyraża siłę i zręczność, a tyle w niej siły moralnej i woli, że starczy, aby całą rodzinę wyżywić, ogrzać i rozweselić. Pracuje za wszystkich i na wszystkich, męża opoja karmi, przyodziewa, znosi cierpliwie nawet jego kłaki i dopiero wtedy, gdy po pijanemu wyprowadza na sprzedaż krowę Krasenkę, żywicielkę całej rodziny, dopiero wtedy straciła równowagę umysłu i po długiej a nadaremnej walce, odurzona gniewem, bólem, strachem, szalona, przyskoczyła do męża, uderzyła go starym kołem od wozu i *zabiła na śmierć*. Oderwali ją od niego przełoną — gdy obejmowała martwe

ciało kochanego — żandarmi, wsadzili na wóz i powieźli do kryminału...

Życie popłynęło dalej — dla jednych strumieniem łez, szarym dniem jesieni, smutnym jak grób, dla innych szumiącym potokiem, wesołym jak pieśń Anakreonta. Z tego złotego potoku życia skosztowała młoda para małżonków w „Różowym pokoju”. *On* mający zmienne usposobienie sangwiniaków, raz chłodny jak fala zmarznięta, to znów gorący jak płomień, z łatwością przetracał się z ramion kochającej go żony w objęcia artystki metresy, a jeżeli było w nim co trwałego, to chyba niepomierna chęć używania. Epikureizm ten, jedyna jego religia, hamował go w chwilach uniesień i bronił od zbyt rażących starć z honorem, które mogłyby zakłócić spokój i zmaćć przezroczysty napój w złotej czarze jego życia. *Ona*, pochylona ku niemu, jak delikatny powój, przez miłość stawała się bezwiednym jego echem i w przeciagu lat paru z rozmarzonej trochę dziewczynki zmieniła się w rozbawioną, godną swego małżonka damę. Na chwilę tylko wstrząsnął nią instynkt zazdrości, gdy schwytała małżonka na gorącym uczynku. Różowy pokój szczęścia, rozkoszny jak sen nocy letniej, runął nagle i groził jej zdruzgotaniem. Lecz po namyśle została w nim, zasłaniając się w fałszywym wstydzie obowiązkami wobec dzieci i ludzi, spijając dalej z tego samego kielicha jad obłudy moralnej. Autorka podnosi to wytrwanie żony na stanowisku wśród zmiennych warunków do obowiązującego wszystkie kobiety prawa, przez co mimowoli uświeca zgniliznę nowożytnego małżeństwa. Mały skrzydlaty bożek miłości, z którym niezgrabnie kokietuje autorka w obrazku zatytułowanym „Amor”, przebywa różne zmienne losy koleje, zanim łuk swój złocony skierował na łysiejacą głowę lekarza, zdobiąc front jego szafki z narzędziami chirurgicznymi. Posążek ten uwolniony z niewoli, brudu i kurzu u handlarza starszyny, był świadkiem dwukrotnej miłości Eskulapa, najprzód do artystki (dosyć wiernie odbijającej koleje losu autorki, będącej przez dłuższy czas aktorką w trupie prowincjonalnej), a potem drugiej miłości jego do jakiegoś naiwnego dziecka, które potem uciekło od męża. Amorek nie dostał jednak dymisy, miejsce jego zajęła tylko miłość, głębsza, szczerza miłość społeczna. Tamta przyrzekała szczęście gorącym słowem rwącej się w niebo myśli i fantazyi, przyrzekała potem spojrzeniem dziecka niewinnem i zawiodła stokroć gorzej. Ta wzbiera i wylewa się na świat, na ludzi w dniach trudu i nocy spędzanych bezsennością przy łożu, chorego kojąc balsamem nieuleczalne rany ludzkości. Cała nowelka — to niezręcznie wyśpiewany hymn pochwalny na cześć „profesora miłości”, któremu już dawno zabroniono nauczać „*ex cathedra*”. Uczucie to drwi z wszelkich praw i kodeksów spleśniałych, drwi z niezręcznie naniżanych przykładów autorki, a zakłada sobie szkołę w tych młodych, gorących serduszkach, które na chwilę oczaruje, aby potem, przeleciawszy „ziemskie kolisko,” głosić trwalszą ewangelię miłości, póki z serc ludzkich nienawiści, a z czoła egoistów piętna Kaina nie zetrze dotknięciem swych czystych skrzydeł. Drobnym szkic p. n., „Pierwsze zamówienie,” owiany zlekka atmosferą męża autorki i „Hyrodyszcze,” przedstawiający romans starzejącego się kawalera, właściciela dóbr, z nauczycielką, idealistką, marzącą o szczęściu chłopów i o zrównaniu ludzi (obrazek przypominający czasy praktyki nauczycielskiej autorki) nie dorzucają już nic nowego do charakterystyki W. Sołleckiej. Jest to ta sama niepoprawna, nerwowa romantyczka, malująca na wszystkie tony miłość, jedyne jej znane uczucie, które pali jak ogień, świeci jak słońce na wszystkich stronicach jej spuścizny. Talentu odmówić jej nie można, ale kopalnia jej twórczości nie posiada ani szczerzego kruszcu realizmu, ani kropli smutku, dwóch

właściwości podanych w przedmowie p. Sienkiewicza jako znamienne rysy jej fizjognomii. Śnać szan. kum nie przypatrzył się dobrze dziecku, które trzymał do chrztu z konwenansu...

H. B.

PIEŚŃ ŁABĘDZIA TENNYSONA.

Największy, a przynajmniej najpoczytniejszy ze współczesnych poetów angielskich, ogłosił nowy tom swych poezyj p. t. *Demeter and other Poems*, który pod względem zalet, zarówno jak i wad, w niczem nie ustępuje poprzednim. Trzeba przyznać, że i to coś znaczy, zwazawszy, iż sędziwy poeta ma 80 lat wieku. Znajdujemy tu też same doskonałości formy, wspaniałość obrazów i harmonię wiersza; ale za to widnokręgi jego myśli zostały po dawnemu ograniczone, treść utworów została banalna, jak zwykle, a ideały nad wyraz płytkie, często nawet wsteczne. „Poezyi” tej nikt, w chwili rozpacz lub ironii, nie stworzył. O, nie, jest ona dzieckiem zadowolenia i miernoty. Tennyson nigdy nie wydobył z lutni swej zgryźliwego tonu, nieba nie zasłania mu aż do ostatniej chwili żaden obłoczek, a wiary w boską doskonałość tego najlepszego ze światów nie podkopało najmniejsze zwątpienie.

Mówimy, że treść ostatnich utworów Tennysona jest banalna. Istotnie, czyż może być coś bardziej oklepanego nad romantyczną opowieść „The Ring,” w której autor przedstawia losy pewnego pierścienia, przechodzącego wiele rąk, zanim spoczął na palcu prawowitej jego właścicielki? Taką samą świeżością pomysłu odznacza się historia psa („Oud Roa” czyli Old Rower), który wyniósł dziecko z gorejącego domu i dożył głębokiej starości, otoczony wdzięcznością i szacunkiem. Nie mniejszy połot myśli zawiera w sobie poemat „The Lepers Brede,” w którym cnotliwa i kochająca żona nie chce porzucić męża, powracającego z wyprawy krzyżowej z zaraźliwą chorobą (trędą). I wszystko w tym guście.

A ideały Tennysona? Przedstawiają one najmocniejszy wyciąg z „dobrych obyczajów i bojaźni bożej.” Poeta spisał już pismo na pieśniach pochwalnych dla najmodniejszej, najlepszej, godnej ubóstwiania królowej Wiktorii. I nie stracił na tem! Szanowny laureat otrzymuje sutą synekurę, jakiej pacholkiwie artystyczne, żyjący na koszt dobrodziejów, na pewno od czasu Mecenasu nie widzieli. Tennyson mieszka na wyspie Wright, tym raju ziemskim, gdzie go umieszcila troskliwość królowej, aby miał dosć czasu i dostatku dla pisania antyfon na jej cześć, których przykłady znajdujemy w ostatnim zbiorze. Mamy tu paradny poemat na jubileusz królowej Wiktorii, pisany w stanzach bezrymowych, z „efektem antyfonalnym,” co wprawia w naiwny zachwyt prawowiercą i dobrze myślącą krytykę angielską.

Cóż robić? Muzy były zawsze dziewczętami sprzedajnymi, a „w naszych czasach — mówi Bleibtreu — zamieniły się w zwykłe bajadery, gotowe tańczyć przed pierwszym lepszym Nababem.” Muza Tennysona tnie także często madrygały damom arystokratycznym, darzącym go swemi łaskami, po których zresztą obecnie pozostało, prawdopodobnie, już tylko miłe wspomnienie.

Poeta ten przedstawia doskonały typ konserwatywnego „country gentlmana.” Jego angielski szowinizm narodowy występuje w ostatnich utworach zupełnie z tą samą siłą, co i dawniej. Banalność mieszczańska takich pieśni, jak „Love thou thy land” oddawna jest znana, a i w nowym zbiorze znajdujemy kilka nienawistnych apostrofów, zwróconych do Paryża i wogóle do cudzoziemczyzny. Nienawisć ta i nieto-

lerancya daleko więcej, niż romantyczny idealizm, spowodowały go do określenia zolizmu, jako „koryta dla świń.“ Tymczasem nie ulega wątpliwości, iż pierwsze lepsze dzieło Zoli bogatsze jest w namiętność i siłę umysłową, niż wszystkie poezye nabożnego Tennysona, razem wzięte. Wszystkie rozdzwinki współczesnego życia przeszły dlań bez śladu, pozostaje on wobec nich głuchym i ślepym, jak dziecko, a raczej jak rodowity filister. Jakąż natomiast głęboką analizę tych rozdzwinków znajdujemy u Zoli! Weźmy drobny przykład. Znany jest powszechnie okropny rozkład, jakiemu uległa współczesna rodzina mieszczańska. Jej podstawy — to wyrachowanie i geszeft, jej nieodmienne towarzyszy — to prostytutcy i cudzołóstwo.

Wszystko to ani na chwilę nie zakłóca prae-rafaelistycznej zaiste harmonii i spokoju Tennysona. Sielanka rodzinna jest u niego zawsze rozczulająca, a uczucie szacunku dla niej — rozwinięte do najwyższego stopnia. Drobnomieszczański ten zachwyt znajdujemy w większości jego utworów. Rozbierany przez nas tom poezyj daje nową próbkę tegoż rodzaju. Mamy tu opowieść p. t. „The remords of Romney.“ Malarz Romney, ożeniwszy się młodo, porzuca wkrótce swą żonę, gdyż artystyczny jego temperament nie zgadza się z pożyciem małżeńskim. Dopiero pod koniec życia chory, znękany, odzyskuje opuszczoną niegdyś kobietę i na łożu śmiertelnym wyznaje jej, iż cała jego egzystencja była jednym wielkim błędem i że nawet za cenę wyrzeczenia się sztuki trzeba było pozostać u domowego ogniska. To ostatnie jest wszystkim w życiu, wszelkie inne dążenia i ideały — nawet „święta“ dla Tennysona sztuka — są fraszką. Rodzina pozostała dlań czystą i nieskalaną od czasów grzechu Ewy i aż do ostatniej chwili. Taki jest morał poematu.

Porównajcie te dziecięco naiwne poglądy z głęboką i śmiałą krytyką rodziny mieszczańskiej, jaką nam Zola daje choćby w *Pot Bouille*. Zobaczcie tych mężczyzn, żyjących na utrzymaniu kobiet i robiących na nich karierę, te panny „chwytające mężów na autoryzowanych trotuarach salonów mieszczańskich,“ te matki „wykładające swym córkom cały kurs prostytutki przyzwolonej i dozwolonej,“ tę ohydą sić kłamstwa, upadku i obłudy, która stanowi odwrotną stronę sielanki Tennysonowej, a łatwo będzie wywnioskować, po czyjej stronie jest więcej namiętności, poezyi i prawdy. Szczególnie prawdy, jeżeli zwazymy, iż dla Zoli wszystkie powyższe zjawiska stanowią oznakę „rozkładu burżuazyj,“ której przegniłe podstawy walą się same przez się.“ (*Pot-Bouille*, 465). Tymczasem lord Tennyson jest właśnie piewą tych podstaw, wierzącym w ich nieskazitelność i wieczną trwałość i to wobec skandalów libertynizmu wychodzących codziennie w całej swej ohydzie na światło dzienne wśród angielskiej arystokracji mieszczaństwa.

Powróćmy wszakże do „Zgryzot“ Romneya. Nie myślimy bynajmniej stawiać w obronie jego — znana jest powszechnie przysłowiowa głupota malarzów i tenorów, ale może rozdzwink społeczny łączy dwie istoty często różne co do charakteru, ideałów, dążeń i na jego życiu odbił się boleśnie, może i jego żona mogłaby zająć miejsce w galerii „Les femmes des artistes“ Daudeta, obok innych gospoś, nierozumiejących swych mężów i pozostających dla nich obcymi, może Romney, pomimo swych filozoficznych uwag nad szczęściem pożycia domowego, w pół roku po wyzdrowieniu porzuciłby powtórnie swą odnalezioną połowicę — Tennysonowi wszystko to jedno: filisterska etyka jest nieugięta w sakramentalnej swej głupocie, to też Romney dobrze czyni, że umiera, gdyż inaczej mógłby autorowi narobić kłopotu.

Lira Tennysona wydawała tony fałszywe zawsze, gdy próbował wydobyć z niej

idee abstrakcyjne, filozoficzne lub religijne. W sztuce p. t. „The promise of Mary,“ wystawionej niedawno w teatrze, stara się on dowieść, iż sceptycyzm religijny idzie zawsze w parze z egoizmem, kłamstwem, oszustwem. Z drugiej strony ponieważ teoria rozwoju, przestraszająca kwakrów, sklepikarzy i dewotki okropnym widmem „pochodzenia od małpy,“ obraża ich „delikatne dusze“ i „idealne“ pojęcia o „sztuce, poezyi,“ a głównie o „powabie kobiecym,“ więc Tennyson stanął w szeregu walczących przeciwko tej djabełskiej herezyi i w poprzednich jego utworach możemy znaleźć wiele „klejnocików“ najczystszych i najwstrętniejszego obskurantyzmu. W ostatnim wszakże tomie jego utworów zawarty jest poemacik p. t. „By an Evolutionist,“ w którym krytycy upatrują próbę pogodzenia nauki z poezją, „okropnej rzeczywistości“ ze „szlachetnym idealizmem.“ Posłuchajcie tylko:

„The Lord let the house of a brate to the soul of a man.“)

W innym wierszu „Parnassus“ poeta dochodzi do wniosku, iż astronomia i geologia przyemiły blask muz. Dziwna rzecz, że też poezya współczesna chętniej się godzi z zabobonami ciemnoty, niż ze zdobyczami nauki! Każdy „artysta“ z zadowoleniem wyidealizuje wam najdziksza bajdę pierwotnych umysłów, ale za to nie jest on w stanie przetrwać pierwszej lepszej naukowej prawdy. Czyż to nie jest największym potępieniem dotychczasowej sztuki?

Nie mówiliśmy jeszcze o jednym poemacie, „Demeter,“ od którego zbiór niniejszy nosi swój tytuł. Jest to kłiwy monolog bogini z powodu utraty córki i niewątpliwie jedna z najładniejszych rzeczy całego tomu. Śliczne są także wierszyki „Crosting the bar,“ „Far, far away.“ Reszta mogłaby być śmiało wypuszczoną, bez wszelkiej ujmę dla muzy Tennysona.

Wszelkie wady, któreśmy powyżej wyliczyli, są w oczach czytającej publiczności zaletami. Nic dziwnego: autor nigdy nie wznosił masy do jakichś nowych, szczytnych ideałów, przeciwnie, sam spuszczał się do poziomu zwykłej, życiowej rutyny. Oprócz tego tajemnica powodzenia Tennysona zawiera się we wspaniałej formie, która rozporządza wszystkimi narzędziami malarstwa i muzyki. Każdy jego wiersz jest jednocześnie obrazem i melodią. Ale cóż z tego? Jeżeli poezye Tennysona mile głaszcza ucho i pieścza oko, to niechaj się cieszą ci, którzy podziwiają jego poglądy i ideały. Madonny Rafaela mogą wzbudzić nasz podziw swą techniką, ale gdzie jest ta siła, któraby zdołała wywołać w nas choć słabe echo tych przebrzmiałych zapalów, jakimi przeszłość była pełna? Cóż my mamy z harmonii i kolorytu wierszy Tennysona, jeżeli treść ich jest dla nas banalna, martwa, albo nawet wstrętna?

Cichej pieśni, któraby wlewała otuchę w serca cierpiących i ciemionych, ten lord angielski nie nucił, nie targał Tyrteuszowej struny, by dodać męstwa gladiatorom, walczącym za lepszą przyszłość. Był poetą zadowolonym i obżartym. Dla nieszcześliwych też był i pozostanie obcym.

Leon Winiarski.

LISTY WIEDEŃSKIE.

20 kwietnia.

Wystawy: gobeliny w muzeum przemysłowym i zbiory wschodnio-azyatyckie hr. Lanckorońskiego. — Występ p. Bandrowskiego w operze nadwornej. — Koncerty p. Abendrotówny i p. Wolskiej.

Wiedeń artystyczny kwitnie jak dawniej. Już od miesiąca przeszło rozpoczął się sezon wystawowy. Zainaugurowała go

*) Bóg umieścił duszę „człowieka“ w ciele „zwierzęcia.“

wystawa historyczna gobelinów, urządzona przez Muzeum przemysłu artystycznego. Zajął się nią Falke, słynny autor dzieła o smaku nowożytnym, pragnąc zająć szersze koła tą gałęzią produkcji artystycznej, dawniej tak ulubioną, i wpłynąć na rozwinięcie jej w Wiedniu. Wystawa ta zapozna widzów wybornie z dziejami wyrabiania gobelinów i daje im wyobrażenie o całej piękności tych dekoracyjnych dzieł sztuki, niegdyś zdobiących dom każdego zamożnego obywatela, dziś znanych tylko bogaczom i ludziorom zajmującym się sztuką fachowo. We Francji zwłaszcza w ostatnich latach zajmowano się historią gobelinów. Wiadomo dziś, że w Europie wyrabiano je przez długi czas głównie w Arras, skąd się wywodzi pierwotne ich miano „arrazzi.“ Po upadku przemysłu w Arras, wyrób obrazów tkanych przeniosł się do Brukseli. Kiedy zaś Colbert w r. 1662 w Paryżu założył wielką fabrykę tych wyrobów, zaczęto je nazywać gobelinami z powodu dość niedorzecznego: oto na miejscu, gdzie stała owa fabryka, poprzednio rodzina Gobelinów utrzymywała farbiernię. Niederlandczycy zwali gobeliny „rukkelaken,“ a miano to najbardziej oddaje właściwe znaczenie i przeznaczenie tych dekoracji, które ozdabiano portyki i komnaty, kościoły, namioty lub nawet drzewa leśne podczas podróży, skoro wśród drogi popas urządzano. Wyroby te ulubione były na Wschodzie, a w najnowszych czasach odkryto je nawet w grobach starożytnych egipcyan. W Europie rozwój artystyczny gobelinów szedł w ślad za malarstwem. Podczas gdy średniowieczne gobeliny opowiadały zdarzenia, umieszczają postacie w jednym rzędzie obok siebie, z wolna spostrzegamy próby grupowania i wysuwania postaci z płaszczyzny, wreszcie całkowite zastosowanie tła przedniego, średniego i tylnego. W Nederlandach gobeliny przyjmują cechy realistyczne, a nawet naturalistyczne, we Włoszech widzimy na nich walki bohaterów i olbrzymów, we Francji naśladować patos teatralny nadwornych malarzy Ludwika XIV i ulegają modzie wprowadzonej przez Watteau'a i Bouchera. Gobeliny, zebrane na wystawie wiedeńskiej, są przeważnie dziełami wielkich rozmiarów, wyrabianymi niegdyś według kartonów artystów pierwszorzędných, będące dziś w posiadaniu kościołów, panujących i rodzin magnackich. Przez czas dłuższy zaniedbywano zupełnie piękne te ozdoby, stracono zrozumienie dla ich wartości. Widzieliśmy w Wiedniu przesłizny gobelin, pochodzący z Rosyi; ocalał on z całego cyklu, który spalono, by wytopić z nich nic złota. Dziś, kiedy wyrosło zajęcie dla artystycznego ozdabiania mieszkań, przypominano sobie gobeliny. Bogaci zakupują antyki, mniej zamożni naśladownictwa francuskie. Zważywszy, że większość rodzin mieszczańskich wie dzie życie kosztowne, zmieniając co parę lat lokale, gobeliny przykrywające wielką część ścian są pożądanym środkiem dla utrzymania charakteru mieszkania. Znaczniejszy popyt spowoduje niezawodnie ożywienie produkcji nowych, oryginalnych gobelinów, a tem samem uprzystępnienie ozdób tych dla kół szerszych.

Drugą wystawę, bardziej jeszcze wzbudzającą ciekawość, zawdzięczającą wiedeńskiemu rodakowi naszemu, hr. Karolowi Lanckorońskiemu. Zeszłego roku puścił się on w podróż do Indyi, Chin i Japonii z wybornym akwarelistą L. A. Fischerem. Celem jego było nietylko zwiedzenie tych krajów, lecz powiększenie bogatych swych zbiorów działem azyatyckim, dość skąpo reprezentowanym w muzeach europejskich. Należy przyznać, że hr. Lanckoroński wybornie skorzystał z krótkiego stosunkowo pobytu: jego zbiory wyrobów przemysłu przewyższają niemal zasoby muzeum wiedeńskiego, a na polu sztuki, zwłaszcza malarstwa, są jedynymi w Europie. Towarzysz jego przedstawił najpiękniejsze widoki, ja-

kie się podróżnym otwierały, w cyklu przeszło osiemdziesięciu akwareli. Trudno oddać słowami porywającą piękność krajobrazów indyjskich, na których malarz pochwycił czarowną piękność gry kolorów, zdejmując najwspanialsze widoki kilkakrotnie w różnych porach dnia. A i malarstwo indyjskie, mniej znane aniżeli sztuka chińska i japońska, najbardziej na wystawie hr. Lanckorońskiego zajmuje widzów. Są to przeważnie miniatury, przypominające zupełnie średniowieczne roboty klasztorne, zarówno błędami perspektywicznymi, jak techniką kolorystyczną; obrazki te zdumiewają widza jako świadectwa równoległości rozwoju sztuki ludzkiej na różnych punktach kuli ziemskiej. Najwyższego poziomu artystycznego dosięgają wyroby snycerskie, z których przemawia do nas twórca wyobraźnia artystów w wyrazem harmonii, obcej innym wytworom sztuki indyjskiej. Ściany komnat wykładają w Indyach wielkimi, rzeźbionymi tablicami drewnianymi, przedstawiającymi imitacje okien w ramach ornamentalnych. Okna te, wsparte na filarach, plastycznie występują z płaszczyzny; kryją je kopułki, a w głębi widnieją makaty czerwone.

W sali chińskiej przykuwają oko widza bogactwem i pięknnością stroje wyrabiane z jedwabiu i złota o dziwnie wdzięcznym połysku, jakiego nie dosięgają wyroby europejskie. Akwarele chińskie i japońskie (kakemonosy) ilustrują całą, niemal historię malarstwa wschodnio-azyatyckiego. Widzimy najpierw motywy buddyjskie, traktowane z ostrością japońską, następnie tematy historyczne i świeckie, coraz śmielsze w konturach, coraz pewniejsze w kolorystyce. Wreszcie, jako oryginalny wytwór ducha japońskiego, występuje humorystyczne malarstwo rodzajowe. Dzieła sztuki religijnej zebrał hr. Lanckoroński w małej świątyni buddyjskiej; widzimy tam liczne posąжки Buddy, kwiaty lotosu, złote i czerwone, świętych zabijających smoki, słowem żywo przypominają się nam nasze kościołki wiejskie. Na szczególną uwagę zasługuje bogaty zbiór ekranów, wyobrażających sceny miłosne, ozdobionych przepysznymi wzorami. Oryginalnymi ozdobami ściennymi są maski drewniane i woskowe, wyobrażające namiętności skarykaturowanym układem mięśni. Wystawa wschodnio-azyatycka hr. Lanckorońskiego, pomieszczona w muzeum handlowem, prześciga inne wiedeńskie prześliznym, artystycznym prawdziwie układem, który czyni z niej cacko. Parasole i wachlarze japońskie, oryginalne bronie, makaty, liście palmowe i pióra pawie posłużyły do ozdobienia trzech rozległych sal.

Kiedy hr. Lanckoroński zbiorami swymi zainteresował koła uczone i artystyczne, zarówno jak publiczność szeroką, głosy polskie, które znów akordem całym zabrzmiały w stolicy naddunajskiej, zajęły sfery muzyczne. Z wielkiem powodzeniem wystąpił w operze nadwornej p. Aleksander Bandrowski. Niegdyś śpiewak operetki lwowskiej, odznaczający się niezwykłą w tej kategorii artystów inteligencją muzyczną i grą żywą a rozumną, popisywał się on już przed kilku laty w Berlinie, poczem zaangażowany został jako pierwszy tenor do Frankfurtu. W Wiedniu słyszano go dotychczas w *Proroku* i *Rienzi*; w obu partjach zadowolił publiczność i krytykę, która przyznaje mu głos sympatyczny, dobrze ukształcony i grę rutynowaną. Jest nadzieja, że p. Bandrowski wejdzie w skład opery wiedeńskiej. Będzie to rzeczą łatwiejszą, aniżeli utrwalenie pozycji zdobytej, o czem świadczy los śpiewaczki koloraturowej, p. Abendrotówny, którą starsze koleżanki obecnie intrygami starają się wyprowadzić z opery nadwornej. Panna Abendrot, która w chwili, kiedy list nasz znajdzie się w rękach czytelników, może już znaną będzie warszawianom, odniosła niezwykły tryumf artystyczny, występując tu z pierwszym koncertem w sali Rosendorfera. Zarówno

arye operowe, pozwalające rozwinięciu koloratury, jak pieśni, których wrażenie zależy od temperamentu, przekonały publiczność, że młoda śpiewaczka wywiązuje się dziś z zadania swego na estradzie lepiej może, aniżeli na scenie.

W sali Ehrbara wystąpiła p. Bronisława Wolska, która od lat wielu kształci się w Wiedniu. Rozporządza ona głosem sympatycznym, ale nie rozległym, który podobał się publiczności bardziej, aniżeli krytyce. P. Wolska pozostaje na razie śpiewaczką koncertową.

Stwosz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Przyszłość „Słownika geograficznego.” — Jak zwykle. — „Wielka encyklopedia ilustrowana.” — Gościnne występy aktorów. — Świece teatralne.

„Gracyalistą” zmarłego w zeszłym tygodniu Wł. Walewskiego był *Słownik geograficzny*. Ponieważ z dochodu nie opłacał on swych kosztów, więc krewniacy nieboszczyka mogą powiedzieć: wydawnictwo to oparte było tylko na „dobrej woli” zmarłego, która ustała wraz z jego życiem i spadkobierców obowiązywać nie może. Jak zapewnia w *Kuryerze warsz.* p. Br. Chlebowski, współredaktor *Słownika*, spadkobiercy tak nie mówią i chcą złożyć potrzebną sumę. Trzymamy ich za słowo, które nie trudno będzie im spełnić, gdyż odziedziczą 400,000 rs., a dokończenie dzieła kosztować ma 6,000 rs. Pierwotna pogłoska, podobno z testamentu poczerpnięta, jakoby zmarły włożył ten obowiązek na Kasę Mianowskiego, brzmiała wprost naiwnie, bo z równą racją mógłbym ja polecić p. Ludwikowi Krasieńskiemu pokrywanie wydatków *Prawdy*. Jeżeli nieboszczyk Walewski istotnie taką wolę objawił, to wytłomaczyć ją można tylko nieprzytomnym stanem, w jakim na godzinę przed śmiercią rozporządzał swym majątkiem. Majątek ten otrzymują jego krewni z linii bocznej; za niespodziewane może, a w każdym razie niezapracowane obdarowanie powinni oni zapłacić społeczeństwu tą drobną ofiarą — dokończeniem pracy swego dobrodzieja. Moralność nasza w pojmowaniu spadków i praw społeczeństwa do majątków, stanowiących niespodziewanie wygrywane losy, upadła tak nisko, że niżej zejść nie może. Miejmy nadzieję, że dziedziczący po Wł. Walewskim nie dołączą nowego zgorszenia do tylu innych, które okryły nas plamami wstydu.

Co robić w zimie? Tańczyć. Co robić w lecie? Tańczyć. Co robić w jesieni? Tańczyć. Co robić na wiosnę? Tańczyć. Więc tańczymy: dla nakarmienia głodnych, dla odziania nagości, dla oświecenia ciemnych. Nie sądź czytelniku, że tu wskrzeszam minione wspomnienia karnawałowe. Niech bowiem wioślarze zaświadcza, jak my teraz tańczymy — nawet na murawie, nawet pod strugami rześistego deszczu. Widziałem nieraz pływających tabetek, dotkniętych paralizem postępowym, kulawych, ułomnych itd. Ten tylko oprze się pokusom, kto nog nie ma — obul! Ze wioślarze na uroczystości otwarcia przystani, „pomodliwszy się naprzód,” potem „hasali do rana” wytrwale — zapewnić nie potrzebuje. Toć to dzieci wesołego narodu!

Ilu też z nich prenumeruje „Wielką encyklopedię ilustrowaną”? Nie wiem, ale przypuszczam, że niejeden cenę jej kilkakrotnie pomnożoną rozpuścił w... Wiśle. A wydawnictwo to zasługuje na szerokie poparcie, bo jest kosztownem, pożytecznem i sumiennem. Niema ono nic wspólnego z tandetą, fabrykowaną pospiesznie przez

podręcznych krawców, nieuczących po parciek cudzą robotę. Redakcja widocznie stara się o dobór współpracowników możliwie najlepszych i towar sprowadzony z zagranicy dopełnia obficie materiałem krajowym. Pomijając stronę ilustracyjną, która przy naszych środkach i zasobach z zagranicznymi tego rodzaju wytworami mierzyć się nie może, z pobieżnego przejrzania czterech zeszytów „Encyklopedyi” wydobyliśmy przeciw niej zarzut raczej nadmiaru, niż niedostatku treści. Drobiazgi powiększają obfitość dzieła szczegółami, bez których czytelnik nasz obejść się może. Bo cóż on straci np. nie posiadając wiadomości, że:

Abeken Henryk był bratankiem Bernarda Rudolfa; poświęcał się teologii, w r. 1834 za namową Bunsena udał się jako kaznodzieja poselstwa pruskiego do Rzymu r. 1841 do Londynu; roku 1842 wraz z Lepsiusem brał udział w nankowej wyprawie do Egiptu i Etiopii; r. 1848 został radcą legacyjnym w pruskiem ministerium spraw zagranicznych, a r. 1853 został tajnym radcą legacyjnym i wnioskodawcą. W czasie wojny francusko-niemieckiej towarzyszył Bismarkowi.

Albo:

Abeken Krystyan Wilhelm Ludwik, saski minister sprawiedliwości, przechodził różne stopnie urzędnicze, uzyskał dziedziczne szlachectwo i był saskim pełnomocnikiem przy radzie związkowej.

Ci panowie więcej mieli imion chrzestnych, niż tytułów do chwały. Encyklopedye niemieckie unieśmiertniają ich, ale co oni nas obchodzą? Świat za długo istnieje, ażeby pamięć ludzka mogła być torbą, do której wszystko się wrzuca.

Jest to wielkiem, olbrzymiem szczęściem, że aktorzy teatru lwowskiego pogodzili się ze swoim dyrektorem i pozostają na miejscu. Bo wyobraźmy sobie, gdyby nie wszyscy, ale tylko część ich, szukając służby w innych świątyniach Melpomeny, przybyła do nas: ileżbyśmy musieli napisać, a zwłaszcza przeczytać studyów i rozpraw o ich występach! Podczas tego bezrobocia żałowałem, że nie znam p. Szmitta; byłbym go błagał: Panie, jeżeli w sercu twojem tli się najmniejsza isierka miłosierdzia dla nas, nie posuwaj „konfliktu” do „finalnego” rozzerwania. Ustąp, zrób ofiarę, jaką możesz, a nie puszczaj do nas stada swoich ptaków. Przyjelibyśmy ich chętnie, ale ta najszerza z rzek świata — krytyka teatralna, wzbrawszy nagle, zaleje nas, a nieliczne towarzystwo ratowania tonących w niej i bez tego przyboru rady sobie dać nie może... Czy przecuciem wiedziony p. Szmitt ulitował się nad nami, czy też nad sobą, dość że ta powódź nam nie grozi i brodzimy tylko w badaniach gry i „pojmowan” jednego p. Rygiera, który do nas z Galicyi zawałł. Nie o jego zdolnościach powiedzieć nie mogę, gdyż: naprzód nie widziałem go, powtóre — z zasady unikam oglądania i publicznego sądzenia gościnnych występów aktorskich, bo to zobowiązuje do każdorazowego zaznaczania odmian, postępów i cofań się artysty w dalszych jego odwieczinach, zwłaszcza że do pamiętania, jak on poruszał ręką lub nosem przed trzema laty i po trzech latach, udając głupca lub mędrca, nie posiadam odpowiedniego organu; po trzecie — nie znam dobrze foremek fabryki świec, zwanej nowoczesnym repertuarem. Niektóre z tych foremek, w których odlewają się czarne charaktery, inżynierowie, wesołe ciocie, rezonerzy, naiwne itd. w kilku postaciach znam, ale to jeszcze za mało, ażeby być krytykiem teatralnym. Przy największym wysiłku pamięci nie mógłbym ustrzedz się błędów w określeniu, ile takich świec idzie na dramatowy lub komediowy funt, które z nich należą do produktów zwykłych, a które dopiero starają się o patent. Niedawno np. dopiero objaśniono mnie, że istnieje osobny szablon „wesołej cioci,” mający swoje specjalistki.

O świecie fałszu, szablonu i konwencyonalnych, sztucznych odlewów! Wygnałeś poezję i podrabiasz rzeczywistość. Wytworzyłeś sobie pewną ilość patronów, stałych wzorków, przez które malujesz obrazy życia tak, jak malowane bywają ściany pokojów. Życie to rozwija się, przekształca, zmienia ludzi i stosunki, a ty świecie teatralny ciągle kreślisz swoje czarne charaktery, wesołe ciocie, rezonujących inżynierów i doktorów. Gdzie w tegoczesnych „sztukach“ tętni puls obecnego czasu, czem one przypominają znamiona epoki, w której się rodzą i której mają być odbiciem? Jednostajne fabrykaty i fabrykaty. Desenie perkalów i kortów zmieniają się od nich częściej i odpowiadają potrzebom rozwoju lepiej.

Ależ nie sądzicie przedstawiciele tych szablonów na deskach scenicznych, ażeby przeciw wam zwracał te słowa. Wy gracie to, co dostajecie z rąk autorów; nie wasza wina, że rezonerzy i wesołe ciocie dotąd żyją. Gdy sztuka dramatyczna pójdzie w innym kierunku, pójdą za nią i wasze talenty. Tymczasem wydobywajcie świece z fosomek i zapalajcie je przed publicznością — łutowe i funtowe.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Hodowca o drobnej własności ziemskiej. — „Kredytowierstwo“ szlacheckie. — Losy sklepikarstwa na wsi. — Bezbożność chłopska.

...Z czasem i na instytucji nawskróś szlacheckiej, Towarzystwie kredytowym ziemskim, spocznie inne piętno. *Hodowca*, który zgromił *Gazetę radomską* za dogryzanie radcom Towarzystwa oraz delegatom, posądzając ich o żywot pasorzytniczy na synkurach i występując przeciwko jej zarzutom, wymierzonym w stronę ustanawiania przez zarząd nadzoru z delegata przy pomocy wójta i sołtysa nad ruchomościami dóbr niewypłacalnych, twierdzi: „Ustanowienie nadzoru nad dobrami po pierwszej zaległości nie podoba się tym, którzyby chcieli zajęcie do drugiej raty przeciwnie, by więcej wyzyskać z majątku. Wreszcie dewastujący właściciel i w drugich trzech miesiącach to samo prawie robi, z tą różnicą, że po pierwszej zaległości coś może zostanie, po drugiej nie. Wreszcie dewastujący majątek dobrze zna położenie i czeka drugiej raty, a odrazu przystępuje do gospodarki rabunkowej. Im wcześniej więc nadzór będzie ustanowiony, tem lepiej dla majątku i Towarzystwa. Co zaś do nadzoru wójtów i sołtysów, rzecz to doskonale pomysłana, bo doświadczenie wskazuje, że nadzór delegatów jest niedostateczny, gdyż nie mogą oni ciągle kontrolować właściciela, a wójt i sołtys odpowiedzialnością prawną zagrożeni, nie pozwolą usunąć nic z tego, co im pod nadzór oddano. Gorzkie doświadczenie pokazało, że wszelka dyskrecja i opieranie się na dobrej wierze właściciela poddanego dozorowi delegata, do najgorszych rezultatów doprowadziło.“ Tak to, panowie ziemianie, na coście zeszli?

Przypadek zdarza, że i w innej cytacji *Hodowcy* muszę się z nim poniekąd zsolidaryzować, przynajmniej pod względem stanowiska ekonomicznego. Idzie tu o stosunek drobnej własności ziemskiej (według tego pisma wynoszącej 10 milionów morgów w Królestwie) do wielkiej (sięgającej 9 milionów) oraz o ich regulator gospodarczy *plus x*, czyli o Bank włościański. Powiadają, iż przynajmniej pod względem ekonomicznym piszę się na przytoczone niżej zdanie *Hodowcy* o drobnej własności, bo pod każdym innym sądzono jej u nas odegrać rolę łódki Charona, mającej nas przewieźć po czarnych falach Styksu teraźniejszości do bram raju, gdzie straszliwy Cer-

ber stoi na straży, albo w bezmiar — nirwany... „Nie ulega wątpliwości — powiada tedy *Hodowca* — że uprawa wielka stanowić musi najważniejszą podstawę naszego rolnictwa. Gospodarstwo drobne produkuje mniej, a tem samem drożej, gospodarstwo zaś ogrodowe, zapewniające w zachodniej Europie tysiącom drobnych właścicieli ziemskich byt niezależny i dostatni, u nas, przy żadnej prawie konsumpcji tego rodzaju produktów w pośród miejscowej ludności, w wyjątkowych chyba wypadkach ma jakąś rację bytu, nigdy zaś nie może być uważane jako system gospodarczy, zasługujący na szersze zastosowanie... We wszystkich też krajach europejskich własność wielka wyłączenie była krzewicielką postępu w dziedzinie rolnictwa; a nie uwłacza to jej zasłudze, że nie uczyniła tego w humanitarnych celach, lecz w obronie zagrożonego swego istnienia ekonomicznego.“ *Hodowca* nie wątpi, że z czasem, przy większem osobistem wykształceniu i zastosowaniu najnowszej techniki rolniczej, drobny posiadacz ziemski potrafi intensywniej i lepiej gospodarować, ale myli się mocno, jeśli sądzi, że samo sąsiedztwo wzorowych wielkich gospodarstw sprawi tę cudowną zmianę, bez udziału innych, potężniejszych czynników. Ale nawet w takim razie, można być pewnym, że pomimo najdoskonalszych obandażowań, drobni ziemianie, o ile warunki sprzyjać będą, odegrają bodaj rolę armii aspirantów do zajęcia obecnego stanowiska wielkich bankrutów, aspirantów, których nieliczny procent dobiegnie zamierzonych mety, żeby opanowawszy większym obszarem, sprężyskiej, niż szlachta, rentę gruntową wycisnąć i współzawodniczyć z pozostałymi w tyle towarzyszami tej samej wioski...

Nie mogę się wstrzymać od przytoczenia próbki logiki szlacheckiej, czy też nienasyconości, albo raczej jednego z drugim. Nasuwa mi sposobność korespondent z Konińskiego (gub. kaliska) *Hodowcy* swojemu rozmówcom. Utyskuje on na „miecza Damoklesa“, albo bez bawelny mówiąc, na subhastę Towarzystwa, której „nieszczęśliwe“ majątki mają podlegać. Przeszło 100 dóbr spotka ten los. W razie nieuregulowania należności w ostatecznym terminie sprzedaż tych majątków nastąpić ma we wrześniu. Panuje tam brak zupełny licytantów, cena ziemi spadła straszliwie: kiedy przed laty kilku za włokę dawano przeszło 3,000 rs., a czasem nawet 4,000, dziś te same ziemie przechodzą w „obce“ ręce za bezcon, po 1,500 — 2,000 rs. Jak ci, czytelniku, zdaje się — czego te fakty mają dowodzić? Ziemia, przy zmienionych niekorzystnie warunkach rynku zbożowego, nie chce rodzić pożądanej ilości rubli, a więc jest złym towarem, którego z tychże powodów pp. ziemianie, a raczej pełnomocnik ich, Towarzystwo kred. ziem., wystawił na targ w imponującej liczbie. Tak ty odpowiesz i ja wraz z tobą. Ale korespondent szuka sprawcy złego pośród wierzyteli i zarzuca im, że oni to zahypotekowanymi na ziemi długami swoimi przeszkadzają rolnikom korzystać z kredytu państwowego. O, biedna, bezsilna piękności, która zostałaś uwiedziona, przypominasz mi dziwny obraz. Oto stoi nagi, zużyty suchotnik, na którego plecach są brzozy krwawiejące — ślady długów Towarzystwa, obok nich niżej, skąd nogi rosną, Szmul postawił swoje bańki, suchotnik wyciąga dłonie jeszcze w jedną stronę i woła z gorączką w oczach: „Jeszcze kilka cięć!“ Życzę wam, panowie, dobrej zabawy...

Wiekowi z płockiego donoszą ciekawe szczegóły o rozwoju sklepów chrześcijańskich po wsiach. Są to po większej części zastępujące karczmy — sklepiki z norymberszczyzną, z przedmiotami codziennego a powszechnego użytku, tytoń, artykuły spożywcze i „co najwyżej antałek piwa, sprzedawanego na kufle.“ Sklepiki takie dzierżawią handlujący od właściciela ma-

jątku z dodatkiem ziemi pod kartofle i pastwiska dla krów lub nierogacizny. Oto jakie są na teraz pieluszki niemowlęcia, zarodków handlu wiejskiego chrześcijan. Zakładają je nie tylko mieszczenie, lecz także i chłopi zamożniejsi. Przy poparciu i zachęcie dziedziców rzucają się do tego zyskowego proceduru organizaci wiejscy i rzemieślnicy. Ponieważ z tych nowych rodzimych namiastu instytucji zarobkowych wygnane są napoje wysokowe, sklepiki więc spełnić mogą trojaką rolę: 1) przyuczyć ludność miejscową do „uczciwego“ wyzysku nowych pośredników; 2) napędzić pieniądza do rodzimej kieszeni czyli zwięzić pole działalności obcoplemiencom i 3) szerzyć wstrętność. Mają jednak te zawiazki swojego handlu szkopolu stawiane przez „zasłępienie dziedziców nowokreowanych.“ Oni nie baczą na nic i nikogo i z swoich dóbr „za psie pieniądze na licytacyach poskupowanych“ starają się jaknajwięcej wyciągnąć rubli. Otóż ile razy ich sasiał zniesie u siebie szynk a założy sklepik, oni natychmiast otwierają u siebie karczmę. Więcej solidarności, moi panowie, jeśli życzyecie szczerze powodzenia szlachetnemu dziełu...

„Zaprzeczają niektórzy — powiada *Tydzień piotrkowski* — że lud nasz wiejski nie wynaturza się, że wpływ otoczenia i zły przykład klas wykształconych są nieznaczne, że lud ten jest niedostępny wszelkim zmianom na gorsze itd. Niestety, weale tak nie jest: upadek moralny, zepsucie obyczajów, brak sumienności i zanikające poczucie sprawiedliwości, oraz coraz bardziej mnożące się kradzieże, nieposzanowanie cudzego, lenistwo przy wzrastającej chęci użycia, pieniądza itd. itd. rozwielniają się wśród naszego ludu, niestety bardzo szybko, zwłaszcza wobec różnych postronnych usiłowań...“ Po co taki grad obelg spotkał duszę Bartka, ten produkt długo tłumionej cywilizacji? A oto patrzaj: „W drugie święto Wielkiejnocy rynek maślany zaroził się od bab wiejskich, które, korzystając ze świątecznej posuchy na nabiał i warzywa, zaimprovizowały sobie naprędce targ na te produkty.“ Panaceum społeczne — jajko wielkanocne i szynka (religijność) — środki doskonałe do rozstrajania żołądka i kiszki głodzonych przez 40 dni, w straszliwy sposób zostały obrażone. A jednak, kochany moralisto, święto żydowskie, równocześnie z katolickim przypadające, oczyściło rynek z współzawodników i trzeba było chwycić sposobność za pół...

Z. Atanazy.

O PRAWDĘ.

Łódź, 17 kwietnia.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z powodu ostatniego pożaru w fabryce J. K. Poznańskiego, w pismach prowincjonalnych pojawiły się uwagi, z którymi bezstronny, a naoczny świadek, co najmniej zgodzić się nie może. Ponieważ *Prawda*, w której cenę niepowodowanie się stosunkami osobistymi, na wiarę innych powtórzyła te zarzuty, przyjemnie mi będzie, pomieszczeniem sprostowania faktów wykazać jej literacką bezstronność.

W srogiej i kompetentnej krytyce zarzucono brak cylindrów na płomieniach gazowych. Cylindry takie ani na jotę bezpieczeństwa ogniowego nie zwiększają, przy czem jednak pękaniu mogą tylko robotników przypaść o kalectwo. To też znany ten środek nie znalazł zastosowania ani u nas, ani za granicą.

Natomiast, właśnie dla bezpieczeństwa ogniowego, we wszystkich postępowych fabrykach zaprowadzają okna żelazne, które tu nazwano kratami, a które, jak sądziła śledczy zaznaczył w swym protokole, „każdy mężczyzna z łatwością wyrwać może.“

Fakt, że ponad ogniem objęta sala na 3^{tem} piętrze 7 robotników, wróciwszy już ze schodów ogniotrwałych, lecz napełnionych dynem, schroniło się do komórek ustępowych, wystarczył do narzekania na brak schodów i drabin. Otóż sam widziałem przy każdej sall

dwoje ogniotrwałych schodów w przeciwnych kątach sali. Drabin, sięgających do 1-go piętra, wiele było nawet nieużytych. Brak tylko było drabiny rozsuwanej, któraby sięgała do 3-go piętra, gdzie się robotnicy schronili, lecz taką obsługiwać mogą specyjalni tylko ludzie.

Również zapewnić mogę, że nie tylko żaden robotnik z następnych oddziałów nie został oddalony, lecz nawet wszyscy ze spalanej części nadal w fabryce pracują.

W czem więc upatrzono „niedbalstwo samego p. P.“ — nie wiem. Natomiast jasno widzę niedbalstwo w zbieraniu wiadomości wiarogodnych.

Dziękując za okazaną mi dla tego wyjaśnienia gościnność — pozostaje z poważaniem.

Stały prenumerat.

PRASA RUSKA.

Now. Wremia pisze (według *Gaz. pols.*)

„W korespondencji naszej z Warszawy przy napomknięciu o bezstronnem zachowaniu się dziennikarstwa polskiego względem dramatycznej trupy Korsza powiedziano słów kilka na temat, że zbliżenie rosyjan z polakami, w dziedzinie sztuki i piśmiennictwa poczęte, może stopniowo objąć wogóle stosunki między polakami i rosyjanami i z czasem doprowadzić je do ostatecznego zjednoczenia obu narodowości. Na kilka zaś dni przed tą korespondencją — podług słów *Kraju* — w gazecie naszej wszelka myśl o zjednoczeniu polaków z rosyjanami uznawana była jakoby za niepotrzebny anachronizm.

Rzeczywiście w polemicznej notatce przeciw *Dziennikowi poznańskiemu* uznaliśmy za anachronizm myśl o jakimś szczególniejszem „pojednaniu” polakami, która przeszło lat 10 temu była w obiegu dziennikarskim i mogła, jako znamię czasu, mieć pewne znaczenie, dopóki się nie wyświetliła zupełna jej bezzasadność: chodzi o to, że rosyjanie zgoła nie mają z kim „się godzić.” Polacy bowiem nie posiadają odpowiednich ku temu organów państwowych i sami nie przedstawiają — mimo łączność piśmienniczą i publicystyczną — żadnej całości; nadto niema też wewnętrzne celu dla podobnego aktu pojednawczego w takiej właśnie formie, jak to propagowano w końcu ósmego dziesiątka lat bieżącego wieku. Czyż to wszakże ma znaczyć, że pozostajemy ze sobą w sprzeczności, wyrażając się na innem miejscu ze współzuciem o stopniowem zbliżeniu i zjednoczeniu z polakami? Bynajmniej. W tejże notatce polemicznej, występując przeciw jakiemuś „godzeniu się” pozorowemu, mówimy o „spokojnej przyszłości dla naszej Polski w połączeniu z Rosyą,” tj.: o tem samem zbliżeniu, tem samem zjednoczeniu, jakie przewiduje nasz korespondent warszawski.

I dziś żywimy przekonanie, że im mniej prawić będziemy o „pojednaniu,” niemającem — powtarzamy — ani środków, ani gruntu, tem lepiej dla sprawy istotnego zbliżenia rosyjan z polakami. To ostatnie — pragniemy wierzyć — z czasem utworzy sobie drogę pod wpływem życia samego; to też witamy ze współzuciem każdą pomyślną oznakę w tym duchu — nawet taką drobną, jak bezstronny stosunek dziennikarstwa polskiego do trupy Korsza.

Ma się rozumieć, że i w tym względzie niema czem tak bardzo się zachwycać po naszym od dawna bezstronnem zachowywaniu się, naprzykład wobec produkującego się tu niegdyś polskiego teatru Łukowicza — że pominiemy już „znakomości” w rodzaju Sembrich i Mierzwiskiego, którzy w obfitości zdobywają u nas wawrzyny...

KRONIKA.

Fortepianista niemiecki Reisenauer dał w Warszawie koncert, na którym wykazał przymiot największych mistrzów tego instrumentu. Jak fatalne skutki wywarła gra jego na wrażliwszych słuchaczach, świadczą następujące słowa sprawozdawcy *Kuryera codziennego*: „Z głową roztrzaskaną na pół, z jaźnią zestrojoną do najwyższego stopnia,

z perspektywą spędzenia bezsennej nocy po doznanych wrażeniach stoimy jednak wobec niemożności podzielenia się temi wrażeniami z czytelnikiem i scharakteryzowania wszechpoteżnej a wielce indywidualnej gry. „Mimo „roztrzaskanej głowy,” „rozstrojonej jaźni” i „niemożności scharakteryzowania gry,” krytyk charakteryzuje ją i podziwia w niej zwłaszcza „karkołomne przejścia.” Przy sposobności mały projekcik: czyby nie należało przejść tych nazywać raczej „palcołomnemi”?

Wiadomości administracyjne. Now. Wr. pisze: „P. minister spraw wewnętrznych wniósł w tych dniach do Rady państwa projekt utworzenia gubernii chełmskiej, do której składu włączonych będzie kilka powiatów gubernii lubelskiej tudzież sąsiednie, tworzących t. zw. „zabużże.” Miałem gubernialnem będzie Chełm. Po utworzeniu gubernii wszystkie posady administracyjne obsadzone w niej będą urzędnikami ruskimi. W związku z tym projektem pozostaje inny: utworzenie oddzielnej eparchii chełmskiej. Obecnie wikaryat chełmski przyłączony jest do eparchii warszawskiej i jedyny biskup-wikaryusz zamieszkuje w Lublinie, co odbija się w sposób niepożądany na przebiegu spraw duchownych w tym rdzennie ruskim kraju.”

— Opracowano projekt ograniczenia żydów pod względem nabywania, dzierżawienia i zarządzania własnością ziemską. W Królestwie Polskiem w ciągu lat pięciu będą oni musieli wyprzedać posiadane dotąd grunta; nadto określony jest termin, w ciągu którego mieszkający na wsi mają się przenieść do miast. Będą oni mieć prawo wypożyczać kapitały na hipotekę dóbr ziemskich, ale bez możności nabywania tychże dóbr przy subhastacyi. Druga część projektowanego prawa dotyczy żydów w Cesarstwie.

— Przy ministerstwie sprawiedliwości wkrótce ma być utworzony nowy departament.

Szkoły. Od roku szkolnego 1890/1 postanowiono wprowadzić do szkół rzemieślniczych wykład higieny.

— W tych dniach czytany będzie w Radzie państwa projekt ministra oświaty o niektórych zmianach w programach gimnazjalnych. Pomiedzy innemi zalecane jest przedłużenie wakacyj letnich.

— Z inicjatywy ministerstwa dóbr państwa postanowiono utworzyć stypendya w szkołach technicznych i rzemieślniczych dla dzieci włościan, zajmujących się rzemiosłem na wsi. Tego rodzaju uczniom wydawane będą zapomogi na zakładanie warsztatów w miejscach ich zamieszkania.

— Za nieregularne posyłanie terminatorów do szkół rzemieślniczych skazano w Warszawie 80 majstrów cechowych na kary pieniężne w stosunku 75 kop. za każdy raz. Ogółem suma kar wynosi 166 rs. 75 kop.

— Na posiedzeniu sejmiku węgierskiego minister oświaty wniósł projekt ustawy, orzekającej, że nauka języka greckiego w gimnazjach nie jest obowiązującą. Nareszcie!

— Grono kobiet w Atenach stara się o otwarcie wyższych kursów żeńskich.

Wiadomości społeczne. Projekt ustawy kasy wkładowo-pożyczkowej felcerów warszawskich wyznania mojżeszowego przedstawiony został do zatwierdzenia władzy wyższej.

— Na przyszłość projektowane jest utrzymanie w Warszawie przez całe lato jednego przytułku noclegowego.

— Zarząd m. Łódź oddaje podzutek w wychowanie kobietom, które otrzymują za to z kasy miejskiej po 5 rs. miesięcznie.

— Komitet kasy wsparcia podupadłych lekarzy udzielił z zapisu dr. Jana Bączewicza zapomogę 5 wdowom (por. 90) po lekarzach polakach wyznania chrześcijańskiego, a w braku takich, po lekarzach innych wyznań. Zgłoszenia przyjmuje komitet przed 15 czerwca r. b.

— Mierzwiski w Krakowie cały dochód z koncertu w sumie przeszło 2,000 złr. przeznaczył na rzecz miejscowych stowarzyszeń humanitarnych i dobroczynnych.

— Zmarły Jan Schindler, ostatni prezydent Rzeczypospolitej krakowskiej, poczynił następujące zapisy: 40,000 złr. do rozporządzenia kapituły katedralnej, oraz 10,000 złr. z przeznaczeniem procentów na rozdawanie co rok jałmużny. Gmina krakowska otrzymała 20,000 rs. na rozdawanie corocznie wsparć dla podupadłych rzemieślników. Towarzystwo dobroczynności 10,000, Arcybractwo miłosierdzia i banku pobożnego

(założone przez Piotra Skargę) 5,000 na zapomogi z procentów dla sług, które najdłużej w jednej rodzinie obowiązki swe pełniły. Po 2,000 złr. otrzymały następujące instytucje: szpital bonifratrów, szpital dla dzieci, szpital żydowski, zakład sierot chłopców, zakład kobiet niedołączonych. Bibliotekę wartościową (10,000 tomów) tudzież mapy i ryciny zmarły zapisał księgozbiórowi jagiellońskiemu; narzędzia, instrumenty medyczne i fizyczne polecił rozdać zakładom naukowym, ubogim w środki.

— Krakowska kapituła katedralna zawiadomiła p. dr. Weigla, przewodniczącego w komitecie sprowadzenia zwłok Mickiewicza do Krakowa, że zezwala na złożenie ich w krypcie katedry na Wawelu. Sprowadzenie odbędzie się w lipcu r. b.

Rolnictwo. W Żerkowie (Poznańskie) zawiązało się nowe włościańskie kółko rolnicze.

— Główny zarząd stadnin państwowych przeznaczył 5,050 rs. tytułem zapomogi dla 12 wystaw koni, które się odbędą w maju r. b. w różnych miejscowościach państwa.

— Z inicjatywy ministerstwa dóbr państwa postanowiono w miesiącach letnich przystąpić do robót irygacyjnych w miejscowościach, gdzie susza dawała się szczególnie we znaki.

— Ministerstwo spraw wewnętrznych zezwoliło na dokonywanie bydła rogatego szczepień ochronnych karbunkulu w niektórych guberniach południowych.

Sprawy kolejowe. D. 20 b. m. odbyło się w Humaniu uroczyste położenie kamienia węgielnego pod dworzec nowej kolei.

— Agenci kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej, pracujący w magazynie, w biurze dyrektora i w kasie na stacyi Radom, otrzymali podwyżkę, którą mają także otrzymać urzędnicy wydziału ruchu.

— Komitet taryfowy zgodził się na zastosowanie na wszystkich kolejach jednostajnej zniżonej taryfy za przewóz rozplodowych koni wysłgowych.

— Według wiadomości, otrzymanej w tych dniach przez giełdę warszawską, skup kolei Terespolskiej odroczone zostało na lat pięć.

— Ministerstwo zatwierdziło uchwały ostatniego zebrań akcyonaryuszów kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej i zażądało przysłania delegacyi, upoważnionej do podpisania układu o skup kolei Bydgoskiej przez Wiedeńską.

Literatura. Na zasadzie ustawy cenzuralnej, wydawnictwo gazety *Rigasche Zeitung* zawieszono.

— W Pradze czeskiej zaczął wychodzić „Strucny slovník paedagogiki.”

Bibliografia. R. M., *Powieści i baśnie dla dzieci* (z różnych autorów). Warszawa, str. 52.

— G. Chwat, *Buchhalteria podwójna*, zeszyt 3.

— Dr. H. Debrzycki, *O konieczności oddzielnych sanatoriów dla chorych piersiowych* (odbitka z *Medycyny*).

— Dr. A. Fabian, *Hypnotyzm w nauce a w praktyce* (odezty), Warszawa, str. 50.

— A. Dygasiński, *Kolorowane tablice poglądowe do nauki o rzeczach*, zeszyt 5.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani Ign. S. w Teod. Serdecznie dziękujemy za życiwe słowa Wasze.

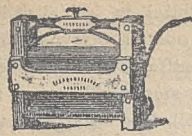
Pani Ad. B. w Genewie. Pierwszy wiersz za zbyt osobisty, drugi — słaby, trzeci — nie do druku.

Ogłoszenia.

— Życzylbym, jeżeli można zaraz, wyjechać na lekeye za umiarkowane wynagrodzenie. — Mój adres: Dorpat, stud. uniw. Montwillo.

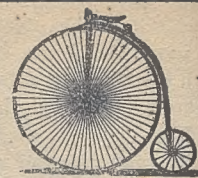
LETNIE MIESZKANIA

w Ostrowie, w suchym lesie sosnowym po 3 i 2 pokoje umeblowane, werendy, kuchnie, piwnice lodownia, łazienka z wanną i prysznicem, gimnastyka dla dzieci. Produkty na miejscu. We czwartki i niedziele dla obejrzenia są konie na pociąg ranny kolei Terespolskiej, przy stacyi Dębe-Wielkie, odległej o dwie wiorsty od miejsca. Bliższe szczegóły, sklep parasoli Hofertowej, ulica Nowo-Miodowa.



w ratach tygod.
po kop. 50.

Bicycle od rs. 100, Rowery angl. od rs. 150, Tricycle angl. od rs. 150, Welocypedy dziecinne, **Przybory do Welocypedów**, Wyżymaczki „Empire,” Widelce, Noże, Scyzoryki, Brzytwy i narzędzia ogrodnicze, polecają **J. Hilknier i S-ka**, Warszawa, Krakowskie - Przedmieście 5, (róg ul. hr. Berga).



w ratach tygod.
po rs. 5.

Poszukują się Agenci. — Cenniki gratis i franco.

JAN LAUTERBACH

ZEGARMISTRZ,
143, Marszałkowska 143,
poleca:



Znaczący skład zegarów i zegarków, wyłącznie z pierwszorzędných fabryk, oraz wielki wybór dewizek złotych, srebrnych i imitacyjnych.

Sprzedają i reperacya z 2-letniem poręczeniem.

Uwaga. Wejście do sklepu z bramy.
143, Marszałkowska 143.

Nagrody z Wystaw za skuteczność:
Warszawa 1885, Warszawa 1886, Kraków 1887, Symferopol 1888.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!!
PEWNY SRODEK
„EXSICCATOR”
OSUSZA WILGOĆ,
ZABEZPIECZA DRZEWO OD GNICIA, GRZYB
KĄPIE — BROSZUR
KA ILUSTROWANA —
BEZPŁATNIE.
POSZUKUJE
AGENTÓW.
Wyn. Inż. G. Ritter.
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Upraszam o zwrócenie uwagi na markę fabryczną, gdyż wiele pojawiło się falsyfikatów.

WYSZEDŁ
4-ty ZESZYT
WIELKIEJ
Encyklopedyi Powszechnej
ILUSTROWANEJ
S. SIKORSKIEGO
opracowany przez najznakomitsze siły naukowe i literackie,
zawierający 34 rycin i jedną tablicę litografowaną.
W ciągu roku wyjdzie 24 zeszytów,
stanowiących 3 tomy.
Cena każdego zeszytu w Warszawie 50 k.
Na przesyłkę pocztową dopłaca się 10 k. od zeszytu.
Prenumeratorzy, opłacający od razu należność za rok cały, czyli za 24 zeszytów (3 tomy), nie ponoszą kosztów przesyłki, zapłacą więc tylko rs. 12, zamiast rs. 14 k. 40.
Redakcyja i administracyja Chmielna Nr. 30.



Zawiadomienie.

Mam honor do-
nieść J. W. W. Pa-
niom, iż dnia 8
kwietnia r. b.
otworzyłam

Specyjalną Szkołę Haftów,

w której uczenie otrzymują patenta.
Szkoła mieści się przy mojej pracowni
haftów „Au bon travail,” Nowy-Swiat
Nr. 33.
Kwiatkowska.

ul. Kotzebue Nr. 2,
w Warszawie.

Magazyn Ubiorów Dziecinnych
S. PRZEDZIECKIEGO
Kotzebue Nr. 2
(róg Wierzbowej).

„Na Raty”

Lustra

sprzedaje miejscowym i na prowincye

Fabryka zwierciadeł

MAURYCEGO Silberberga

8, Rymarska, 8.

UWAGA. Uprasza się o łaskawe
zwrócenie uwagi na dokładny adres
z powodu istniejących firm podo-
bnych i na umieszczony w wystawie
napis „Na raty.”

DYNOZ EAAENIKOS
Wina Greekie
znakomitej do-
broci w 6-ciu
gatunkach.
Skrzynki
po 12 Butelek
w cenie
Rs. 10 kop. 80
wysyłają do
wszystkich sta-
cyj w Króle-
stwie franco.

Bracia Kempnerowie, Długa, 5.

Zetony Uniwersyteckie

przygotował Zakład Optyczno-Mechani-
czny Juliana Drehera, Szpitalna Nr. 6.
Ceny najniższe.

Magazyn Mebli
MAKSYMILJANA KALMUS

w Warszawie, Grzybowska 37,

poleca:

Różnego rodzaju Meble, począwszy od najskromniejszych
do najwykwintniejszych — stylowych.

Przyjmuje również zamówienia na kompletne urządzenia
mieszkań.

Apteka, Poczta, Telegraf,
Sklepy, 2 Restauracye.
Powoz i omnibus na po-
ciąg pocztowe.

Zakład Lecznicy
NAŁĘCZÓW.

5 godzin od Warszawy, 1
godz. od Lublina, 4 wior-
sty od st. kol. Nadwiślań-
skiej Nałęczów.

Srodki lecznicze: 1) Instytut wodolecznicy (hydropatyczny) z zastosowaniem elektryczności, masażu, wód mineralnych i kuracyi dyetetycznej. cały rok otwarty pod kierunkiem Dr. Chmielewskiego. 2) Łazienki do kąpiel żelazistych i borowinowych Nałęczowskich, igliwiowych i wszelkich sztucznych, gimnastyka lecznicza, kumys, kefir itd. w sezonie letnim od 15 maja do 15 października. — Całodzienne utrzymanie z kuracya od 3 rs. dziennie, w sezonie zimowym ceny niższe. — Bliższych objaśnień udziela na miejscu administracyja Zakładu.

SZKICE

Adama Szymańskiego

tom drugi (odrębna całość) wyszedł z druku. Nabywają-
cy książkę do 1 czerwca r. b. bezpośrednio u autora,
Petersburg, ul. Zacharjewskaja Nr. 11 rowy m. Nr. 2,
płaca wraz z przesyłką rs. 1 (cena księgarska rs. 1 kop. 40).

Wyszło w Paryżu i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

Winiarski Leon
„STOSUNKI SPOŁECZNE W ANGLII.”

Cena kop. 50, z przesyłką kop. 55.

Skład główny w księgarni G. CENTNERSZWEA, Marszałkowska 147.

NATURALNE WINA

Węgierskie, Francuskie czerwone i białe od rs. 1 za bu-
telkę, Hiszpańskie, Burgundzkie, Reńskie, Szampańskie,
Koniaki, Rumy, Likiery i Śliwowie zagraniczne odstałe,
Starke, poleca

Handel Win, Delikatesów i Towarów kolonialnych

H. Drzewieckiego i Sp.

Mazowiecka Nr. 1, gdzie dawniej St. Riedel.

W pokojach przy Handlu wydawane są śniadania i kola-
cye á la Carte.